



BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20 z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20. Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.

Ekspedycja Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W. W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

Stanisław Wyspiański.

W grobach na Skalce złożono zwłoki poety—złożono je w tem miejscu, o którym legendy polskie mówią od wieków i o którym genialna fantazyja zmarłego stwarzała tragiczne pieśni.

Śmierć jego okazała jawnie, jak wdzięcznym jest mu naród za te dzieła, w których przemówił do nas czarami malarskich wizyi, językiem potężnego uczucia, muzyką głębokich a bolesnych melodii o ojczyźnie.

Od romantycznej bezpośredniości minęła wieki połowa. Monumentalny sarkofag ducha, wyniesiony jak tum gotycki strzelisto pod niebo nad grobem polskiej państwowości, sarkofagów, wykuty z marmuru pieśni ustami Druidów-Olbrzymów, i zarazem królów naszej romantycznej poezyi—stał niewzruszony w niedostępnej twierdzy uczuć narodowych. Furya czasów porozbiorowych aż po dzień ostatnie przepływała obok niego, składając u jego stóp pianę bezsilnej wściekłości grabieżców, stokrocie wdzięcznych serc i lzy.

Sarkofag nabierał z latami mitycznych blasków i przesłaniał się chmurą tajemniczości.

A naród?

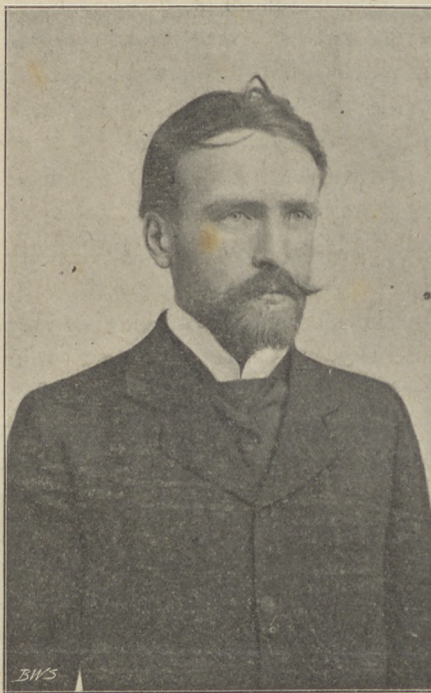
Zwracał oczy ku chmurom i stwarzał w głębi serc swoich wizye wyolbrzymione Konradów, Królów Duchów, Legionów i Polski. Rozkochany był w nich, choć rysy przez daleką przestrzeń czasów coraz mniej naocznie widział, a coraz silniej imaginował. Żarła go zatem tęsknota do bezpośredniości, do obcowania blizkiego z tem, co przerażało już w kształty mitu.

I oto zjawił się poeta, który tę tęsknotę i ten ból za przeszłością wchłonił w siebie i przekształcił we własną pieśń. Potęgą wyobraźni powołał na nowo do życia całe światy romantycznej ideowości, piorunem rozpalonego uczucia rozdarł chmury, przesłaniające sarkofag Druidów romantycznych i oświecił ich rysy blaskiem własnych oczu.

Naród stanął wobec niesłychanego czynu.

W jego oczach twórczy duch wywołał emanację bezpośrednią tych samych czynów, tych samych ludzi, tych samych mąk, przekleństw, rozpaczy i potęgi, które były istotą i formą naszej poezyi romantycznej.

Kolumnowe postacie Konradów i Bolesławów, Wernyhorów i Piastów po raz drugi zmartwychwstały i swą olbrzymią ekspresją malarską, konturami ostrymi swych ciał, natężeniem lirycznego uczucia wciskały się



Stanisław Wyspiański.

w wyobraźnię mas, które w zakątkach dusz niosły ukochane drobiny polskości.

Mniejsza o kontrasty. Mniejsza o to, że na dzień tej pseudoromantycznej odnowy Wyspiańskiego tkwiły zasadnicze antytezy, przewalał się bolesny krzyk protestu człowieka, który pożerany tęsknotą romantyczną, tej właśnie tęsknocie wypowiedział walkę.

Ta ideowa strona twórczości Wyspiańskiego nie dotarła do serca i rozumów narodu. Nie wchodzono w istotę jego pieśni, odczuwano tylko, że ktoś pospiesznie, z niesłychanym rozmachem, z płomieniami na ustach woła imię „Polska”—i że waży się

podnosić kamień grobowy i zduszonym głosem pełnym łez wołać: „Gdzie jesteś?”

Rzecz inna, czego chciał od grobów jego duch twórczy—rzecz inna, że ta posępna, tragiczna, pełna wizyi niedopowiedzianych pieśni jego była odzewem pieśni druidycznej.

Jej olbrzymią potęgę bez względu na jej dążności, było to, że potrafiła przedrzeć się w głąb drzemiących serc i wycisnąć lzy—że budziła do życia omdlałe wspomnienia i refleksy romantycznych bardów, choć na progu serc banalna rzeczywistość stawała do walki z jej natężeniem.

Kiedy błąka się po morzu rozszalałem statek o potrzaskanych masztach i sterze—pod niebem, któremu na imię noc i burza—nad głębią, której imię śmierć i unicestwienie zupełne—kiedy mdleją od wysiłku ratownicze ramiona i wysychają już lzy w rozkrwawionych orbitach oczu, kiedy milczą usta a mózg zatracą świadomość drogi, człowiek, który pokona rozpacz milczenia i krzyk dobiedzie z piersi, i łzami odświeży serca—stanie się bożyszczem załogi—bo uprzytomni wszystkim sam fakt zgrozy i rozbudzi zastygającą pamięć przeszłości.

Takim żeglarzem-odnowicielem na strzaskanym statku polskości był Stanisław Wyspiański. Historia wypowie o nim sąd właściwy. Teraźniejszość jest mu po stokroć razy wdzięczną za to, że pokonał rozpacz milczenia i miał potęgę mowy i potęgę łez.

Są twórcy, których geniusz stapia formę z myślami, poetyckie wizye z warunkami realizacyi, metafizyczność swych percepcyi z rzeczywistością i daje arcydzieła nieśmiertelnej trwałości. Czas dorzuca im czaru i wyolbrzymia ich kształty.

Są drudzy, których twórczość przez życie całe pozostaje fermentem burzliwym, którzy wyrzucają każdą myśl, każdą przesuwającą się przez mózg emanację podświadomości *in statu nascendi*, bez troski o to, czy ich wyraz zewnętrzny będzie miał puls trwałego życia.

Ci drudzy—to fanatycy słowa—to strażnicy chwili.

Takim był Stanisław Wyspiański. „Chwila osobliwa” dawała życie jego poematom dramatycznym; fanatyczna wola wspiera-

ła jego twórcze chęci, uczucie dawało im wzruszającą moc, a genialna malarska plastyka przepyszne tło.

„Osobliwa chwila“ była ojcem i matką jego dzieł. Czy przyszłość odnajdzie w ich głębinach ożywczą moc dla siebie? czy siła jego działania jest dość wydłużoną, aby działać na odległość czasów, czy jest dość zbrojną, aby skutecznie oprzeć się zębom płynącego życia i dość przecuciową, aby utrzymać kontakt między narodem a sobą — to zagadnienie rozwiąże rzeczywistość.

Jakiegokolwiek jednak miejsce przyszłość wyznaczy Stanisławowi Wyspiańskiemu wśród drużyny swych twórczych duchów — teraźniejszość słusznie i prawowicie oddaje mu hold.

Był to dzwonnik na wyniosłej wieży narodowego gmachu, który wspiął się natchnieniem pod zręby najwyższe i jął pociągać opuszczone liny i bić sercem metalowem w metalowy dzwon. Przez noc, która rozsiadła się nad struchlałą duszą narodu, poczęły iść przejmujące, nateżone tony, które jednym lzy serdeczne wyciskały z oczu, drugich uderzały siłą nateżenia po śpiących piersiach.

Dzwon budził — tragicznem napięciem swych tonów — a każdy ton wołał donośnie przez pustki rzeczywistości i przez emmentarze pamiątek — „Polska to jest wielka rzecz.“

Dzwonnik spełnił wielką służbę Bożą.

Cześć Mu za to.

Tadeusz Konczyński.



NA ŚMIERĆ

Stanisława Wyspiańskiego.



Ty, co sztuki cześć głosił ofiarne,
Wyzwolenia wieścił narodziny,
Zapatrzone w przyszłości świt siny,
Mimo ducha i ciała męczarnie...

Choć z przed oczu nam skryją cię darnie,
Ziemia w uścisk cię skryje mateczyny,
Nie ulecisz nam duchu jedyny —
Piers narodu cię twego przygarnie...

Nie dla ciebie mogiły głąb głucha,
Nie dla ciebie głąz zimny i pleśnie —
Nie umiera — i śmierci nie słucha

Ten, co zaklął skarb życia w swe pieśni,
Kto, choć wtrącon w mogiłę przedwcześnie,
Mocą pieśni pokonał śmierć ducha...

Wiktor Dzierżanowski.

Warszawa, 28-go Listopada 1907-go roku.



Z dziełów męczeńskiego żywota

STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO.



Wtedy, gdy Wyspiański po raz pierwszy przyjechał do kraju po studyach w Paryżu i wystawił w Krakowie oprócz konkursowego, wspólnie z Mehoffferem robionego witrażu, cały szereg studyów, tych główek o niezapomnianym wyrazie, i pejzażów bolesnych, gdy dla ogółu publiczności był przedmiotem oburzenia i szyderstwa, dla znawców obiecującym, acz manierą groźnym malarzem — w nas wszystkich, którzy z wiarą w odrodzenie Sztuki zaczynaliśmy wtedy młode życie — On budził nie tylko cześć, ale najżywsze, najgorętsze nadzieje, wprost oczekiwanie, że powie to Wielkie Słowo, co wcieli naszego pokolenia nieświadomione, a żądające wyrazu tęsknoty.

Niezależnie zresztą od dzieł, jakie mógł stworzyć, był dla nas wielkim artystą przez samą atmosferę, jaką wokoło siebie rozciągał. Z najwyższem napięciem, czekaliśmy pierwszej jego wielkiej kompozycji, jaką miał nadesłać na wystawę lwowską.

W Maju 1894-go roku, z tem bajecznem zapamiętaniem, jakiego on jeden posiadał tajemnicę, panując nadludzką energią, nad wyczerpaniem ze znużenia siłami, pracował Wyspiański po kilkanaście godzin na dobę, aby wykończyć na czas swój karton, przeznaczony do katedry lwowskiej. Właśnie w dni kilka po wysłaniu tej pracy, skończonej z takim wysiłkiem, widziałam się z nim, przejeżdżając przez Paryż; wyglądał, jak cień; miałam być wkrótce we Lwowie i zobaczyć „Śluby Jana Kazimierza;“ mówił, że w katalogu wystawy będzie fotografia fragmentu tego dzieła.

Królewska postać Najboleśniejszej — na grobnostajach dawnej świetności — z ręką bezwładnie zwieszoną przy mieczu w pochwie, z tym wyrazem ust i przymkniętych powiek, którego się już nie zapomina nigdy, ta „Polonia“ jedynie nam bliska, nawet w tem małym odbiciu litograficznym — czyniła wrażenie przejmujące do głębi duszy.

Z katalogiem w rękę przebiegaliśmy wszystkie sale „Pałacu sztuki“ na wystawie, z gorączkowym biciem serca, aby wśród lasu obrazów znaleźć jego dzieło. Naprawdę jednak szukaliśmy olbrzymiego kartonu, naprawdę indagowali służbę w kancelaryi, odpowiedziano, że musiał nie nadejść jeszcze. Był to zawód ogromny, spotykał nie nas tylko, ale wszystkich kolejno przez ciąg wystawy przybywających przyjaciół i wielbicieli, którzy właśnie Wyspiańskiego „Śluby“ chcieli tam zobaczyć. Naprawdę szły od niego listy z Paryża do Komitetu, daremne były wszelkie reklamacye, wreszcie, trawiony złem przecuciem i męką niepewności, na jesieni, przed samem zamknięciem wystawy, wyrwa się artysta z Paryża, pędzi do Lwowa i zastaje w przedsionku — nierozpakowaną skrzynię, która nadeszła w dni parę po otwarciu i wskutek tego w tem zaniedbaniu całe miesiące przeleżała. Nikt nie pomyślał, jak wielka dzieje się krzywda ar-

tyście, nikt nie zdobył [się na uszanowanie dla pracy; dla kogóż mogło mieć wartość majaczenie chorobliwe dziwaczne „impresyonisty,“ jak wówczas pogardliwie zwano wielkiego twórcę Franciszkańskich fresków.

Wyobraźcie sobie, jaka rozpacz, jaki ból rozszalały ogarnia człowieka, który swą wartość zna, który genialność swą czuje — i wie sam jeden, czem dzieło jego jest, czem będzie dla pokoleń. Ale to tylko wstęp do krzyżowej drogi Wyspiańskiego.

Odbiera kartony z „Pałacu sztuki“ i urządza specjalną ich wystawę w gmachu Politechniki. Dzieło wywołuje zgorszenie. Ignorancja tłumów walczy o lepsze ze smakiem znawców. Komisya, która zamówiła ten karton i nawet go naprzód kupiła, orzeka, iż dzieło jest „chybione“ i nie może w oknie lwowskiej katedry na wieki świadczyć o spaceniu gustu młodzieńca, na którym się augurowie zawiedli.

Jeżeli są w dziejach każdego niemal polskiego artysty straszne dni nędzy, która nie tylko fizyczne siły głodem wyniszcza, ale przedewszystkiem wykonaniu dzieła stawia materialne zapory, jeżeli są bolesne zawody w starciu z podłością i zawiścią osobistą, walki z przesądem i kamienującą opinią — jeżeli to kapłaństwo tak często bywa powolnem męczeństwem, to wszystkie razem wzięte te znęcania przeciwnego losu i złych, małych, głupich ludzi, nie równają się jeszcze tej krzywdzie, jaką dumna i wielka dusza odczuwa wobec takiej niesprawiedliwości tych, co powinni być mądrzy, tych, co nie przez marność charakteru, ale przez ideową, intelektualną ciasnotę popełniają zbrodnię ekzekucji nie nad człowiekiem, ale nad tem, co mu jest od życia droższe — nad jego myślą twórczą, obrzuconą błotem ich meskineryjnego sądu.

Że ten cios Wyspiańskiego nie powalił, to tylko dzięki olbrzymiej żywotności jego twórczych idei, które zaprzętały go tak całkowicie, tak szalenie szybko kazały coraz nowe, kolosalne podejmować trudy, że wprost nie miał czasu długo zatrzymywać się myślą nad przeszkodami, jakie czuł, że tytanicznymi ciosami swej woli i swego geniuszu w proch zetrze. Jedyną było jego troską, że życia nie starczy, że czasu zbraknie do wypowiedzenia tego, co najbardziej chciał z siebie i z narodu wydobyć. O pracowitości fenomenalnej tego człowieka nie może dać pojęcia. Przy bajecznej fantastyczności natchnienia przechodził intesywnością i ciągłością roboty najbardziej wdrożonych do pracy uczonych, porównać można go było jedynie z niektórymi ludźmi renesansu. I tem właśnie pobijał uprzedzenia, przewyżczał opinie: w Polsce samo już nateżenie pracy tak olbrzymie, staje się zjawiskiem tak imponującym, wobec którego uchylają czoła nawet ci, co ducha tej pracy ogarnąć i poznać jej piękna nie są zdolni.

Że Wyspiański mógł do tworzenia swych wielkich dzieł się dostać, że mógł na wieki zostawić Franciszkańskie prezbiterium, to wcale nie dlatego, iż był geniuszem, ale dlatego, że podejmował się w niesłychanie krótkim czasie zrobić taką robotę, jakiejby się

żaden rzemieślnik za tę cenę wykonać nie zgodził.

I mimo tego nie uniknął na każdym kroku potwornych szykan, dość wspomnieć o owym wprost trudnym do uwierzenia fakcie, że jego kartony do restauracji kościoła świętego Krzyża, bez jego wiedzy, podstępnie powierzono do wykonania dekoratorowi teatralnemu, który też we właściwy szablonowi sposób—subtelne, lekkie ozdoby renesansowe na tapicerską modę przeinaczył i popsuł wszystko, co popsuć było można. Trzeba było widzieć wyraz dziwnych Wyspiańskiego oczów, gdy swym cichym głosem o tym nowym gwałcie, popełnionym nad jego ukochaną pracą opowiadał: tego wzroku także przez życie zapomnieć nie można, zostaje, jak wieczny wyrzut przeciw tym praktykom niecznych aferzystów, co wyzyskując idee prometejskich Tytanów—umieją zawsze sprofanować dotknięciem swoim ich dzieło.

I jeszcze jedno: w kościele Franciszkanów ta uśmiechnięta, słodka twarzyczka świętej Salomei, w witrażu, odpowiadającym ekstatycznej postaci świętego Franciszka—naprzeciw kolosalnej, przepięknej koncepcji Boga-Twórcy. Ta twarzyczka—to dzieło braciśków franciszkańskich, którzy, nie mogąc znieść myśli, aby ich opiekunka miała wychudłe, przepalone ascezą rysy, zamówili w fabryce, wypalającej witraż Wyspiańskiego, małą modyfikację na [korzyść urody Świętej, „Marzeniem mojem—mówił Wyspiański,—„wybić kamieniem tę szybkę..“

Wkrótce doczekał się nowej przykrości: odnowienia bocznej kaplicy w stylu jego naśladowującym—z obrzydliwymi freskami, także z pretensją do „nowej sztuki,“ przez innego artystę-malarza.

Ale od prostych i prostodusznych ludzi w habitach trudno wymagać zrozumienia dla geniuszu Stanisława Wyspiańskiego: cud jest poprostu, że mogąc dostać pokojowego Rafaela, zgodzili się na propozycję szalonego artysty, co do odnowienia prezbiterium, dzięki czemu posiadamy arcydzieło. Ale stała się w parę lat później rzecz, za którą rumienić się będą wnuki naszych wnuków.

Wyspiański, twórca Boga Ojca, twórca żywiołów i świętego Franciszka, poeta „Legendy,“ „Warszawianki“ i „Legionu“ i pieśni „Króla Ducha,“ które równocześnie komponuje, jako kolosalne witraże: Ś-go Stanisława, Henryka Pobożnego i Kazimierza Wielkiego, Wyspiański, nie dopuszczony zostaje na Wawel, gdzie on jeden jedyny ze współczesnych, miałby moralne prawo rozrządzać. Niema tam miejsca dla tych jego kompozycji bajecznych, nawet wtedy, gdy staje już jako wielki poeta narodowy, poeta „Wesela“ i „Wyzwolenia“ i „Bolesława Śmiałego.“

Tych win nieprzeliczonych społeczeństwa wobec człowieka, którego jedyną namiętnością była twórczość, wobec człowieka o przeczystej szlachetności i spiżowej mocy ducha, nie zmaże już dzisiaj nic—żadna ekspiacya.

„Śluby Jana Kazimierza“ będą w katedrze lwowskiej, a gorejąca gromnica z trumną Świętego Stanisława i Kazimierza Wielkiego koronowane szczątki, trafią na Wawel, choćby następnym pokoleniom przyszło po kolei wybijać wszystkie szybki niemieckich fabry-

katów, które sprowadzono do katedry; nie będzie kosztów tak znacznych którychby nie podjęto dla zmycia tego wstydu, ale „kto łyżę powróci?“

Kto dzisiaj z tych, co byli mogli tym katuszom zapobiedz, może z podniesionem czołem stanąć wobec trumny męczennika, którego krótkie życie nie najbardziej fizyczne stargały cierpienia.

Dziś—On, Książę niezłomny polskiego ducha, wstępuje tam, gdzie jest jego królestwo i własność, na Skalkę: idzie z pochodnią zapaloną, z wołaniem: „za mną, za mną!“

J. Oksza.



Stanisław Wyspiański jako malarz.



Umarł Wyspiański. Największe serce w Polsce bić przestało, zamknęły się na wieki oczy, co tyle czarownych wizji naszej przeszłości wewnątrzajm wzrokiem duszy oglądały, zeszywniała ręka, co w kształty plastyczne zamierzchłe mary naszych dziejów przyoblekała, co zasiewała kwiatami ponure mury naszych świątyń; umarł największy nasz współczesny poeta-plastyk, sztuka polska poniosła cios druzgocący, gdyż odszedł on w sile wieku, w pełni rozwoju swego talentu.

„Ukochani przez bogów umierają młodo.“

Dziwny duch o potędze spiżu, co siłą swą czerpał w miłości ziemi ojczystej, w odtwarzaniu wielkich momentów jej przeszłości, wniknięciu w duszę ludu naszego, w ukochaniu jego mowy jędrnej, a bogatej i wyrazistej, w umiłowaniu kwiatów i roślin naszych pól; wielki poeta słowa i poeta barw

W poezji był on plastykiem, a w malarstwie poetą; te dwa pierwiastki nierozłącznie zlały się w jego duszy i stale cechowały jego twórczość artystyczną—twórczość potężną, zdumiewającą swą siłą i zdrowiem, indywidualnością i szczerością uczucia.

Jako plastyk, był on uczniem Matejki i przejął od niego kult dla naszej przeszłości i poczucie monumentalności w sztuce; przy całej odrębności wypowiedzania się technicznego, miały te dwa duchy twórcze dużo wspólnych cech myślowych i uczuciowych. Jako ulubiony uczeń Matejki, pomagał mu przy polichromii kościoła Maryackiego i rozbudził w sobie zamiłowanie do dekoracyjności w wielkim stylu, która, następnie była jedną z dominujących nut talentu Wyspiańskiego. Zwykle malarstwo sztalugowe nie wystarczało artyście o polocie tak szerokim, iż zaledwie całokształt wnętrza jakiegoś gmachu pozwalał mu uplastyczyć swą lotną, szeroko rozlewną myśl. Więc pod ręką Wyspiańskiego ozywają mury gotyckiej, starej świątyni Franciszkanów, zasiewa on je cudnymi kwiatami naszych pól, stwarza jakiś gaj z czarowany, gdzie mistyczny błękit i fioletoły wznoszą ducha ludzkiego w sfery ekstazy i abstrakcyi, a gorące, złote plamy słoneczne, o potędze ziemskich sił przypominają; nad tem bogactwem barw i kształtów króluje

w pysznym witrażu potężna postać Boga wyprowadzającego świat z chaosu. Trzeba podumać parę godzin samotnie w kościele Franciszkanów, aby odczuć całą moc talentu Wyspiańskiego, jego olbrzymie poczucie dekoracyjności, prowadzące go torami monumentalnej sztuki. W ten sposób powstaje wspaniałe wnętrze domu Towarzystwa Lekarskiego w Krakowie, odgrzebuja się z pyłu wieków świetlice Piastowskie; Wyspiański w martwe kształty technice ducha, kładzie pieczęć niestartą swej genialnej twórczości.

Jego szeroki, olbrzymie horyzonty obejmujący talent znajduje też ujście w malarstwie witrażowym, w którym dosięga niebywałych w sztuce polskiej wyżyn. Potężna indywidualność artysty nie chce tu kroczyć utartymi szlakami średniowiecza; znajduje on drogę własną, odrębny sposób wypowiedzania się artystycznego. Linia jego rysunku ma jakąś nerwowość wyrazistą, głębię duchową, oryginalnie podkreślającą. Koloryt jego jest harmonijnie stłumiony, jakby pyłem wieków przyćmiony. Cudne jego kartony do witraży na Wawelu, przedstawiające Kazimierza Wielkiego, Henryka Pobożnego i Ś-go Stanisława, to potężne wizye tych dziejowych postaci, których doczesne, w proch rozpadające się szczątki, zdają się jak mary zaglądać przez wysmukłe okna do wnętrza prastarej, tak bardzo im drogiej świątyni. Wizjonerstwo stanowi bowiem też jedną z cech wielkiego talentu Wyspiańskiego. Przed oczyma jego duszy snuły się korowody dziwne, z pomroki dziejów wstające, a on siłą swego geniuszu i miłości wielkiej nadawał im kształty widzialne. Cokolwiek tworzy Wyspiański, zawsze przepaja dzieło swe uczuciem głębokim; inni tworzą często suchym rozumem, on zaś—gorącym sercem. Jest wielki i szczerzy w swych dziełach, które posiadają powagę i monumentalność linii, a wielkość i szerokość obejmowanych przez artystę horyzontów, na zawrotne wyżyny prowadziła widza.

Wyspiański jest za wielki, aby go z blizka oglądać było można, i dopiero w oddaleniu lat dokładnie ocenić się da potęga jego genialnej twórczości.

Szedł on drogą własną, tak oryginalną i śmiałą, iż żaden mniejszy talent jego śladami nadażyć by nie zdołał. Gdy malował pejzaż, to odtwarzał wyraz wzruszenia swego wobec natury, powtarzał dany motyw kilkakrotnie, stopniował, potęgował siłę ekspresji wewnętrznej, w niebogatej kombinacji kształtów z przyrody poczerpniętych, potrafił cierpieć, płakać, tęsknić, radować się i uśmiechać, kolejno poruszać wszystkie struny na harfie swojej duszy.

Taż sama moc ekspresji duchowej cechuje jego studia pastelowe, portrety, główki dziecięce, o dziwnej wyrazistości, niewielu liniami wydobytej. Rozumiał on i wyczuwał duszę człowieka współczesnego, głównie jednak ukochał przeszłość naszą wielką, choć zamarłą, jej bohaterów szczytnych, jej postacie o konturach potężnych. To umiłowanie kraju własnego, to szczytowanie się jego przeszłością, dało twórczości Wyspiańskiego nutę czystą i potężną, wstrząsającą swą głębią, i prostotą, pokierowało twórczość tę na tory zdrowe i silne, zrobiło z niego najpotężniejszego

współczesnego artystę polskiego, artystę narodowego, nierozzerwalni niemi z duszą kraju swego powiązanego.

Zjawiskowa wszechstronność talentu Wyspiańskiego zbliża go do genialnych postaci Odrodzenia, wytwarzając zeń w sztuce naszej jednostkę nie spotykaną, genialną, w swej odrębnej twórczości.

I umarł Wyspiański—tytan sztuki polskiej.

Zadrgać musiało z żalu po nim spiżowe nieruchome serce dzwonu Zygmunta, i ono jedno dźwiękiem żalobnym z wyżyn ukochanego przez artystę Wawelu godne jest oznajmić krajowi tragiczną wieść, co rozpaczem echem w sercu każdego Polaka odbić się musi: Umarł Wyspiański! Umarł Wyspiański!

Z. Skorobohata-Stankiewiczówna.



MARYAN GAWALEWICZ.

BEZ CELU.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

XV.

W godzinę po nieudalym zamachu na Marajewą, wojsko otoczyło dom, w którym mieszkał Sokolik z siostrą; policja dokonała ścisłej rewizji, przetrząsnąwszy szczupłe mieszkanko Lebickich tak gorliwie, że poodrywała nawet tapety na ścianach.

Pomimo przeszło dwugodzinnych poszukiwań i badań odchodzącej od przytomności Rózi, rzędcy domu, stróża i sąsiadów, nie zdołano wykryć żadnych poważniejszych poszlak uczestnictwa Edmunda w usiłowanym zamachu.

Gdyby nie bystre oko Marajewy, który go dostrzegł wychylającego się z po za węgla przeciwległej kamienicy w chwili rzucania bomby przez Gwóździa, byłaby się może jego obecność ukryła na miejscu przestępstwa; ta jedna krótka chwila wszelako wystarczyła, aby go Marajew zauważył i poznał w nim młodzieńca, który był mu przedstawiony przez Lebickiego na ulicy podczas przypadkowego spotkania.

Obaj nie przeczuwali nawet wówczas, jakie następstwa może pociągnąć kiedyś za sobą ta przelotna znajomość.

Jedynym obciążającym dowodem, który mógł zaświadczyć przeciw Sokolikowi i powikłać sytuację na jego niekorzyść, była owa kartka, pisana do siostry przed wyjściem z domu tego ranka; przyznawał się w niej dość wyraźnie, że ma spełnić jakiś czyn tajemniczy, nieokreślony, ale nieodzowny, który może życiem przypłacić.

Rózia jednakże zdołała w samą porę tę kompromitującą kartkę ukryć, zwinąwszy ją w palcach.

Wetknęła ją we włosy na głowie pod grzebieniem, który podtrzymywał gęste jej i bujne sploty.

Młody oficer żandarmerii, który z pomo-

cnikami swymi dokonywał rewizji, z wielką powagą i ugrzecznieniem odnosił się do niej, ale znać było po nim, że jest zły i podrażniony bezowocnym poszukiwaniem dotychczasowym.

Po za właściwym akcentem rosyjskim, wyrażał się dość poprawnie po polsku, zadając jej od czasu do czasu pytania, do których pozornie zdawał się nie przykładać i sam wielkiej wagi.

— Tak pani jest nauczycielką? — zagadnął ją, — lekcje daje?... co?

Odpowiedziała mu skinieniem głowy, blada, milcząca, oparta o piec w obawie, aby czyje śledcze oko nie dostrzegło ukrytej w jej włosach kartki Edmunda.

— I z tego się pani utrzymuje?

— Tak.

— A braciszek?... robi co, czy nic nie robi?... może też uczy czego?

— Był studentem politechniki, ale teraz...

— Ma wakacje, długie wakacje; tak znaczy, że jest bez zajęcia?... no, no!... A nie szkoda mu czasu bruki zbijać?...

— Przecież nie z własnej winy, — odważyła się wtrącić w obronę brata.

— A z czyjej?...

Zmrużył oczy i ironicznie, wyzywająco spojrzął na nią.

— Pani pozwoli papieroska zakurzyć, co?... — spytał, wyjmując srebrną papierosnicę, — skuczno bez papieroska przy zajęciu, może i pani pali? proszę się nie ścieśniać, bardzo proszę.

Trzymał papierosa w ręku i przyglądał mu się w zamyśleniu.

— Ale brat pani ranny ptaszek — zaczął znowu po chwili, — czy on zawsze tak wcześniej wychodzi na miasto, czy tylko dzisiaj?

— Rozmaicie się zdarza; zazwyczaj ja wcześniej od niego wychodzę z powodu moich zajęć.

— Nu i słusznie; pani musi na chleb pracować, a braciszek... Tak z czego właściwie brat pani żyje?... czem się zajmuje?... — badał dalej, nie spuszczać z oka Lebickiej.

— Ja mu pomagam.

— Ach, pani tylko... innych funduszków nie ma?... No, to wygodnie.

Rozejrzał się, jakby szukając czegoś.

— Pardons!... zapalki u pani są?

— Muszą być.. tam, na etażerce.

Oficer wstał, podszedł do okna, przy którym stała etażerka z książkami i pismami.

Zapalając papierosa, od niechcenia niby przypatrywał się tytułom przewracanych książek czas jakiś, a potem wziął do ręki garść pism, poukładanych na ostatniej półce i zaczął je przeglądać.

Zachowywał wszelako przy tem na pozór zupełną obojętność i zimną krew, tylko nagle zadrgały mu powieki i jedną brew podniósł do góry, jak gończy pies, kiedy niespodzianie zwietry coś podejrzanego; pokiwał głową i cichym, ale ostrym tonem odezwał się po rusku:

— Wasili Wasilicz, bumagi!

Jeden z policyantów, wyciągniętych jak struna przy drzwiach, i wyczekujących w uroczystym milczeniu jego rozkazów, zbliżył się szybko, stukając ciężkimi butami

o podłogę, i podał mu tekę z papierami.

Zrobiła się jakaś złowroga cisza w całym mieszkaniu.

Oficer ze skupioną uwagą odczytywał coś w podanych sobie papierach, potem szybko zgarnął cały stoł wydawnictw i rzucił je na biurko, a odwrócony plecami zaczął pilnie przeglądać numery kolejno ułożonych tygodników jakiegoś specjalnego pisma technicznego, które mu w rękę wpadło.

— Wot i naszli, sława Bohu! — zaskrzeczał oschłym, przenikliwym głosem drapieżnego ptaka, który krążąc długo nad upatrzoną pastwą, spada na nią gwałtownie, aby porwać ją w swoje szpony.

Wyprostował się nagle, odwrócił z miną tryumfującą i szydlerczo uśmiechnięty rzekł do Lebickiej:

— A myślałem już, że będę musiał przeprosić panią za nieporządek i ambaras, i odejść z niczem!... Nu, nie tak, cha, cha!... Pan Bóg dopomógł. Teraz pani pofatyguje się z nami; proszę się ubrać, u mnie czasu mało. Pojedziemy!...

Wypatrzyła na niego oczy wystraszone i przycisnęła się jeszcze mocniej do pieca, nie rozumiejąc o co chodzi, a przeczuwając tylko jakiś groźny, niespodziany zwrot w jej sytuacji.

— Pojedziemy? — powtórzyła zsiniałymi wargami, — dlaczego? dokąd?

— Do cytadeli! — huknął ostro i uderzył ją wzrokiem, który miał błyski bagnetu, a zwróciwszy się do swoich ludzi, rzucił im krótki, gromki rozkaz po rusku:

— Aresztować!

W przedpokoju dźwięknęły ostrogi i zrobił się ruch; szepty urywane i głosy zmąciły złowrogą ciszę.

Pomocnik komisarza zbliżył się z wyrazem ciekawości i zdziwienia do oficera, który niechętnie, po cichu, półsłówkami zaczął mu dawać jakieś bardzo ważne objaśnienia, pokazując przytem leżące na stole tygodniki i porównywnając z niemi papiery wydobyte z teki.

Słychać było przy tem tylko owe krótkie, charakterystyczne potwierdzenia, któremi komisarz przytakiwał, powtarzając raz po raz:

— Da! da! da!... wierno!

Odkrycie było rzeczywiście wielkiej wagi, chociaż w tak małym, niepozornym szczegółzie dokonane.

Wystarczyło jednak, by obciążyć Edmunda Lebickiego oskarżeniem o świadome współnictwo w rzuceniu bomby na pułkownika Marajewy.

Przy zbadaniu pocisku bowiem okazało się, że zawinięty był w numer tygodnika francuzkiego, który Gwóździ poprzedniego dnia podczas swojej bytności u Sokolika wziął z etażerki.

Badawczy spryt żandarma dostrzegł pewien związek pomiędzy znalezionymi przy rewizji numerami tego samego wydawnictwa a owinięciem fatalnej bomby.

W spisanym protokole zaznaczono wyraźnie № 26-ty „Przeglądu technologicznego“ z dnia 39-go Czerwca i tego jednego właśnie numeru zabrakło wśród egzemplarzy, ułożonych we wzorowym porządku gospodar-

na ręką siostry na etażerze brata-rewolucjonisty!..

Ślepy los na okrutną zdobył się igraszkę. Dusiciel, los zdrajca w ostatniej chwili nasunął się sam na świadka, i bezlitośnie dostarczył dowodu winy prokuratorowi sądu wojennego, przed którym stanąć miał przestępca, tego samego dnia jeszcze schwymany przez tajną policję, gdy skradał się do domu, nie wiedząc nic o wypadkach zaszłych podczas jego nieobecności.

Zamach na Marajewa nie sprawił w mieście zbyt wielkiego wrażenia, raz dlatego, że się nie udał, a powtóre, że dowiedziano się o nim dopiero wieczorem, z krótkich wzmianek w dziennikach, które były wypełnione szczegółami bardziej sensacyjnej sprawy napadu na pociąg, dokonanego z bezprzykładną śmiałością i z planem drobniogowo obmyślanym.

Wiadomość o aresztowaniu Rózi Lebiekiej, a później i Edmunda, spadła gromem na Sewerkę.

Bronia, która nad wieczorem przyjechała niespodzianie ze wsi, zastała ją nieprzytomną, trzęsącą się w nieustannych, febrycznych dreszczach, mówiącą od rzeczy i osowiałym wzrokiem patrzącą przed siebie z ustami otwartymi, które bełkotały tylko urywane słowa bez związku.

Nie zwróciła nawet uwagi na powrót siostry, nie spytała jej nawet, z kąd się wzięła w Warszawie i czy jest uwiadomioną o wszystkim; jęczała tylko, dzwoniąc zębami i co pewien czas podrywała się gwałtownie z miejsca, ale nogi się pod nią załamywały w kolanach i padała zaraz na fotel bezsilna, powtarzając bezdzwięcznym, głuchym głosem:

— Nie... nie... nie!... nie trzeba, nie!..

Bronia, usłyszawszy od służącej, zapłakanej i wystraszonej, ważniejsze szczegóły wydarzeń tego strasznego dnia, załkała głośno, uchwyciła się za głowę i wpijając kurczowo swoje paluszki we włosy, zaczęła szybko chodzić po pokoju, szepcząc z przerażeniem:

— O Jezul!.. o Jezus, Marya!.. czy to prawda!.. czy to może być prawda!.. o Jezul!

Potem rzuciła się na swoje łóżko i z twarzą ukrytą w poduszki, z rękoma splecionymi na głowie, leżała tak, jak martwa, sztywna, wyprężona, bez jęku, bez ruchu, przywalona jedną rozpaczliwą, beznadziejną myślą:

— Co teraz będzie?... co się z nim stanie?..

Późno, prawie przed samą północą, zjawił się u nich dopiero Dowmunt.

Z całej „paczki,“ on jeden uniknął jakoś szczęśliwie niebezpieczeństwa i zdołał cudem prawie zachować się w ukryciu.

Jednych policja wytropiła i zabrała, drudzy, jak Romeccy, Łański, Zettelman, ostrzeżeni w porę, umknęli z miasta szczęśliwie i przynajmniej na razie uchylili się od odpowiedzialności.

Gwóźdź, z przestreloną głową i wnętrznościami leżał już w trupiarni, owinięty swoim fałdzistym, pokrwawionym płaszczem, z otwartymi zawsze jeszcze oczyma, bo nie było miłosiernej ręki, któraby mu po-

wieki, rozwarłe grozą i przerażeniem w skonania chwili zamknęła.

Ze wszystkich jeden jedyny Dowmunt pozostał jeszcze na wolności.

I skoro tylko otrząsnął się trochę z wrażeń okropnego dnia, który mu tyle Hiobowych wieści przyniósł, pospieszył nocą do Strzałkówien, zatroskany ich losem.

Nie spodziewając się zastać Broni, chciał odwiedzić Sewerkę i ofiarować jej swą pomoc; sprawa partii, dotkliwym ciosem narażonej, wymagała także narady; przeczuwał, że ostatnie wypadki, a zwłaszcza pochwycenie Sokolika i jego siostry, musiały od głębi duszy wstrząsnąć Niewiastą, ale nie przypuszczał, że zastanie ją do tego stopnia zgruchotaną moralnie i fizycznie.

W pierwszej chwili sprawiła na nim wrażenie waryatki.

Bronka zbudzona z odrętwienia, nieprzytomnym, szklannym jakimś okiem wpatrywała się w niego, nie mogąc zrozumieć, co do niej mówił i czego chciał od niej.

Siedziała na łóżku z nogami podwiniętymi i rozcierając sobie czoło, pytała:

— Co takiego?... kto pan jest?... dlaczego mam się podnieść?... Ja nie nie wiem, ja dopiero przyjechałam ze wsi.

Zapominając o własnym bezpieczeństwie, z narażeniem na to, że włóczące się po mieście patroli mogą go przytrzymać i odprowadzić do cyrkułu, wybiegł na ulicę, aby sprowadzić przede wszystkim doktora i postarać się o ratunek dla opuszczonych kobiet, zostających tylko pod opieką głupiej i niezaradnej służącej, która na jego widok przypadła mu do kolan z piskliwym płaczem i krzykiem, wołając:

— Och, jak to dobrze, że pan chociaż przyszedł!.. Panie złociusieńki, ja się tak boję, że ledwo dycham, ledwie zapię, bo już nie wiem, co robić. Niech pa ratuje, wybawicielu drogi, a niech pan ino zobaczy, co się tam dzieje, bo mi się widzi, że pannę starszą zły duch opętał, a to biedactwo panna Bronka może już i nie żywa z wielkiego żalu i zmartwienia.

Zawodziła głośno i chlipała od łez w ciemnej kuchni, nie odważywszy się wejść sama do pokoju.

Sprowadzony lekarz zbadał stan obu Strzałkówien, przepisał jakieś środki uspakajające, posiedział z pół godziny i na wychodnym rzekł do Dowmunta:

— Starsza ma atak histeryczny, to przejdzie, ale stan młodszej wymaga pilnej opieki; obawiam się zapalenia mózgu. Niech pan natychmiast zarządzi okłady z lodu. Ja tu jutro zagładnę jeszcze około dziesiątej. Daj Boże, aby się na samym strachu skończyło!.. tymczasem dobranoc, do jutra!

Uściskał mu rękę ze współczuciem, biorąc go za należącego do rodziny i wyszedł z twarzą bardzo zaszępioną.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z WAMI!



Z dantejskich dolów życia chciałabym choć
W takie ulecieć przestwory [raz
Kędy nie słyhać jęku cierpiących ludzkich
[mas.,

Gdzie w piersi zwątpieniem chorej,
Nie mdleje z czczości serce — gdzie nie z za
[leż już wzrok

Docieka zagadki bytu —
Tam, gdzie nieświadomości nie wstrzymuje
[mrok

Wolnego myśli rozkwitu...
Nie bije aż tam skargą namiętny, żrący żal
Z nadziei zrodzon rozbicia?

Choć raz chciałabym wlecieć w tę czystą,
[górną dal
Z dantejskich dolów życia.

Z dantejskich piekieł kręgu chciałabym pod-
[nieść lot

W te światy pogodnej ciszy,
Gdzie serc żywych nie miazdzy cierpienia
[krwawy młot,

Pierś męką krwawą nie dyszy.
Chciałabym słuchać słodkiej, wdzięcznej har-
[monii sfer

Miast wrzawy, skarg i lamentu
Tych, co z bezsilnej dłoni życia puściwszy ster
Podobni są do okrętu:

Na wolę losu zdany, przez morską pędzi toń,
A fala miota nim wściekła...
Ach, tych nie wyrwie nawet bratniej pomocy
]dłoń

Z dantejskich kręgów piekła.

Dantejskich deszczów ognie zabójczy zieją żar...
Z pod dżdżów ulewnych płomienia

Uciec pragnę od tłumu zetlałych, zwiędłych
W Eden świeżości i cienia. [mar

Ach, odetchnąć swobodnie! w pierś wciągnąć
[rzeźwy chłód

Co siły użycza nowej!
Zapomnieć choć na chwilę, jak nęka życia
Jak troska w dół chyli głowy! [trud,

— Że życie cel mieć winno, że nie jest gnu-
[śnym snem,

Że walczyć wciąż trzeba jeszcze,
Zapomnieć o tem pragnę... Zabójczym pieką
Dantejskich ognie deszcze! [tchem

Lecz wy, o drodzy moi, kto was wywiedzie
Braterska myśmy gromada: [stąd?

Jeśli zawinił jeden, wszystkim za jeden błąd
Odcierpieć chłostę wypada!
Wszyscyśmy oto razem skazańców nędzna

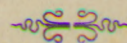
W pokutnej skuci obroży — [dziez,
Wszystkich zarówno smaga dotkliwej kaźni
[bicz,

Dantejskich mąk dopust Boży!
Jakże więc? Odejść od was? Jak zbieg ucie-
[kać mam,

Co stać w szeregu się boi?
Nie! W tem piekle ja z wami, wiernie z wa-
mi wciąż trwam,

Biedni wy, drodzy moi!

T. Prażmowska.



Lucyan Siemieński.

(W 30-tą rocznicę zgonu).



Trzydzieści lat minęło od chwili, gdy w Krakowie (dnia 27-go Listopada 1877-go roku) zamknął powieki jeden z głośniejszych poetów tego czasu, krytyk i felietonista, wytworny stylistą, obdarzony smakiem artystycznym i znajomością rzeczy — Lucyan Siemieński.

Urodzony w r. 1809 ym w Magierowie w Galicyi, był potomkiem znanej rodziny ziemiańskiej.

Oddany do szkół w młodym wieku, pobierał nauki początkowo w gimnazjum lubelskim u Pijarów, i ukończył je w r. 1827-ym.

Wkrótce potem wyjechał do Odessy, gdzie, bawiąc u swej babki, studiował języki wschodnie, przygotowując się, jak się zdaje, do zawodu dyplomatycznego.

Ale los pokrzyżował zamiary jego — bo oto powróciwszy w strony rodzinne, na wieść o tem, co wówczas wszystkie zaprzętało umysły — na wieść o wybuchu powstania listopadowego (1830—1831-go roku) rzucił się w wir wypadków i wziął czynny w nich udział.

Waleczny i dzielny, w wielu bitwach i potyczkach się odznaczył, ale w końcu dostał się do niewoli i dopiero za staraniem życzliwych a wpływowych osób, odzyskał wolność.

Zaraz też wtedy (w r. 1835-ym) udał się Siemieński, po wypuszczeniu go z więzienia, do Galicyi, i osiadł we Lwowie.

Odtąd właściwie datuje się jego działalność literacka: przed rokiem 1830-ym głucho o nim w literaturze i dziennikarstwie; nie było go w gronie młodych poetów i pisarzy ówczesnych, nie brał udziału w życiu społecznym i umysłowym tych czasów; z woli wuja, pułkownika wojsk rosyjskich, Dłuskiego, kształcił się na żołnierza, a gdy to z powodu słabego zdrowia okazało się nieodpowiedniem — na dyplomatę.

A jednak już wtedy musiał tęsknić do ujawnienia swych prawdziwych zdolności, gdyż — jak to z kąd inąd wiadomo — zaczytywał się w poezjach mistrzów tej doby, kształcając w ten sposób umysł, zdolny do odbierania wrażeń estetycznych i utrwalania ich, oraz przechowywania w pamięci.

Z początkiem więc roku 1835-go dopiero, wszedłszy w świat literacki Lwowa i zaciągnąwszy się w szeregi młodych bojowników pióra owej doby, począł wraz z Bielowskim tworzyć różne projekty literackie, które z przyczyny ówczesnej cenzury trudno było uskutecznić.

Mimo wszystkie trudności jednak, Siemieński, nie dający się łatwo zniechęcić, zaczął na dobre pisać i drukować i odrazu zarysował się jako talent nietuzinkowy, tak, że w kółku „młodych“, do którego należeli jeszcze: Józef i Leszek Borkowscy, Dominik Magnuszewski, Wincenty Pol, Seweryn Goszczyński i Ludwik Nabelak, nie ostatnie zajął stanowisko.

Już wtedy ujawniał się w jego pracach zmysł artystyczny, umiłowanie swego zawodu, obok znajomości formy, pysznego stylu i doskonałego języka, owianego czarem prze-

dziwnej prostoty i rzetelnego piękna: drukowana w „Ziewonii“ jego powiastka p. t. „Ody i poeci“ i różne wiersze ulotne — najlepszym tego dowodem.

Zajmują go też rzeczy dawne, więc zamysła, na wzór Herderowskich „Stimmen der Völker“ wydać zbiór pieśni ludowych Słowiańszczyzny,

Ale przeszkody piętrzące się na jego drodze, tamują rozwój jego talentu i nie pozwalają urzeczywistnić się jego zamiarom: pobyt we Lwowie i w Galicyi, w ogóle niemożliwym się dlań staje: zostaje uwięziony i po odsiedzeniu półtorarocznego terminu kary, zmuszonym się widzi kraj opuścić.

Wyjeżdża więc, naprzód do Francyi, gdzie czas jakiś bawi w Paryżu, a następnie — na dłużej do Strasburga, gdzie zbliżył się z emigrantami, a zarazem przejął się duchem czasów i nabrał przekonania, które dziś — wydają się nam dziwnymi co najmniej.

Te gromy, rzucane na wszystko, co trąci arystokracją i szlachectwem, te echa mówiących, przepojonych zasadami demokratycznymi, przejęcie się mesyanizmem i uleganie wybitnym wpływom dążących różnemi drogami do poznania prawdy ówczesnych mistrzów słowa, jak Mickiewicz np., jakże odbijają jaśkrawo od całej późniejszej działalności Lucjana Siemieńskiego, zachowawcy, arystokraty, filaru „Czasu“, i małżonka hrabianki Ludwika Potockiej.

A jednak — nie była to ze strony Siemieńskiego renegacja czy apostazja: oto poprostu w młodości duch jego w poszukiwaniu nieznannej prawdy przebiegał różne szlaki i ścieżyny, aż gdy się znużył, w męczącym a bolesnym dociekaniu, zapragnął ukojenia i spoczynku i to odnalazł w ciszy religijnych wierzeń, w umiłowaniu tradycyi.

Po powrocie z emigracyi (1843) przybył Siemieński do Wielkopolski, gdzie znów spotkał się z więzieniem, a wydalony, udał się do Brukselli, z kąd w roku 1848-ym wyjechał do Krakowa, gdzie już przebywał do śmierci.

Objął wtedy redakcyę „Czasu“ i w jego odcinkach z początku, a później w specjalnych dodatkach literackich, zamienionych z czasem na miesięcznik, drukował wspaniałe swoje szkice literacko-krytyczne.

Wpływ jego rósł z każdym dniem, stanowisko utrzymywał się.

W r. 1849-ym po Wiszniewskim, wykładając zaczął historycę literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim, ale na krótko; w r. 1872 im został członkiem Akademii Umiejętności i dyrektorem wydziału filologicznego.

Czy to w drobnych wierszykach, czy w większych utworach, jak: „Trąby w Dnieprze“, „Czestmir i Własław“ — jest Siemieński zawsze artystą, świadomym swych środków i granic swego talentu: nie porywa się na tematy, którym podołaćby nie mógł, i to, co pisze, starannie wykończy i uzupełnia.

Gorący patriota, był nim nie tylko w życiu, lecz i w pieśni, stworzył wiele pięknych i za serce chwytających wierszy, choćby takie: „Do Renu“, „Pociecha“, i — najpiękniejszy „Westchnienie za Polską;“ nie możemy odmówić sobie przytoczenia go tutaj w całości.

Oto on:

„Wszystko nam ludzie odjęli, o Paniel
Jako zżętemu kłosowi na lanie
Ziarno skradziono, na proch słomę starto
I wiejąc na wiatr, wołano po świecie;
Przeklęta ziemia rodzi tylko śmiecie,
Troszczyć się o nią nie warto!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Paniel
Jako lotrowi co na rusztowanie
Wskazan, policzek dostaje od kata
Herby mu łamią, imię na przekleństwo,
Ciało oddają na miecza męczeństwo,
Popioły wichur rozmiata.

Wszystko nam ludzie odjęli, o Paniel
Jakbyśmy wpadli w piekielne otchłanie;
Słyszac ich; słońce świeci tu inaczej —
I ludzi niema — tylko dzika tłuszcza,
I kraju niema — tylko ciemna puszcza,
Wyjaca rykiem rozpaczy.

Wszystko nam ludzie odjęli, o Paniel
I Tyś Jobowi na wypróbowanie
Brał syny, zboża wybijał i stada —
Lecz nasze próby wprost idą od ludzi,
Przeto litości ich nie już niewzbudzi,
Biada sądzonym, biada!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Paniel
Zostało jedno Twoje zmiłowanie,
A to, coś więcej, od bluźnierstw i krzyku —
Bo kiedy zechcesz zwrócić na nas oko,
Ile dziś nizko, o tyle wysoko
Staniem w narodów świeczniku!

Takich wierszy ma Siemieński więcej, a obok tych wynurzeń lirycznych, niepoślednie miejsc zajmują i inne, satyryczne, dowcipne, ucinliwe strofy, bądź na tle ogólnospołecznym, bądź politycznym, jak np. ten najgłośniejszy, choć najjadliwszy, napisany w roku 1856-ym „Point des rêveries“, zaczynający się od *refrainu*: „Zakazuje się wyraźnie, pod Sybirem i knutami, by nie trapić wyobraźni rojeniami, marzeniami...“

I jego przekłady, choć mają wiele usterek, zawsze noszą na sobie piętno artyzmu; pięknym jest przekład „Odyssei“ pomimo, że jest od oryginału daleki i nie wolny od różnych dziwactw stylowych i językowych.

Ale już w studyach i artykułach literackich, jako wytworny stylistą piszący tak, jak mało kto wówczas pisał — jako pisarz-publicysta, krytyk i analityk, Siemieński stoi bardzo wysoko.

Jak słusznie powiada Stanisław hr. Tarnowski w swojej rozprawie, czytanej d. 3-go Maja 1878-go roku na posiedzeniu Akademii Umiejętności w Krakowie, Siemieński był jednym z tych ludzi, bez których „nieśmiertelne dzieła natchnienia i geniuszu nie zginą, ani wartości swojej nie tracą, ale dla całych pokoleń będą nieprzystępne i niemal stracone, gdyż tacy, jak autor „Portretów literackich“ pisarze, znając się na piękności dobrze, nie dadzą pojęciom o niej błąkać się i krzywić“, polerując gust i kształcając smak artystyczny czytelników.

Trudno w drobnym szkicu wyszczególnić wszystkie zasługi Siemieńskiego z tego tytułu, nie podobna przytaczać wybitniejszych jego utworów, gdy takich choćby szkiców ulotnych i rozprawek pierwszorzędnej wartości, rozrzuconych po czasopiśmie, jest tysiące; dość powiedzieć, że takiego znawcy, jak Siemieński, nie było przedtem, a dobry stan literatury naszej w ostatnich trzydziestu latach, jej rozwój i rozkwit, jej ciągle wzmaganie się w moc

i siłę, w dużej mierze należy przypisać wpływowi na czytających ogół takich ludzi, jak Siemieński, którzy budzili w tłumach cześć dla piękna i zamiłowanie do dobrych książek,

To też, jeżeli nawet laury poetyckie twórcy „Trąb w Dnieprze“ zwiędły, pamięć o nim nie powinna zagać i — nie zaginie.

Wśród potomnych, choćby innych byli przekonani i wierzeń, utrzyma się rozgłos jego imienia, zostanie ślad po nim trwały.

A choć sam wątpił o tem, naprzykład w takim wierszu:

„Burzami gnany wędrowiec
Czyż swoją ziemię powita?
Czyż się o jego grobowiec
Bliska potomność dopyta?

Jeżeli miejsca spoczynku
Nikt z druhów nie zwiży łezką —
Kalino, różo, barwinku,
Strząście nań rosę niebieską!

Jeżeli zimni przechodnie
Od grobu odwrócą lica —
Przyświecaj-że mu łagodnie
Cichy promieniu księżycu.

Jeśli nakoniec nikt żywy
Nie wspomni o mnie, o pieśni,
Wspomnijcie — gaje i niwy!
Wspomnijcie ptaszkwie leśni!

Ptaszkwie, doliny, kwiaty,
Księżycu, gwiazdo, błękiecie!
Dla was śpiewałem — wy z laty
Gęślarza nie zapomnijcie!“

to jednak pewnem się zdaje, że nie tylko przyroda, ale i ludzie wspomną pieśniarza i urok jego rzewnych pieśni; ci zaś, cc o tych pieśniach pamiętać nie zechcą, zawsze jeszcze uznawać będą za słuszne, aby w Pantheonie chwały narodowej imię człowieka, co czuł szlachetnie i gorąco, działał zawsze w dobrej wierze, choć może błędnie nawet — człowieka, który „piękność za wzór powołania“ wzięwszy, nie tylko ją w pismach swoich tworzył, ale i w duszy hodował i życiem zasady jej stwierdzał — jaśnieć powinien blaskiem, wolnym od skaz, jakie uprzedzenie i niechęć osobista rzuciły nań mogły.

T. K—c.



Uniwersytet ludowy w Anglii.



(Ciąg dalszy).

Jako temat do wykładów, o których mowa, wybierane są przedmioty, mogące zainteresować audytorium ludowe. Od prelegenta wymaga się wykładu gruntownego i zajmującego; chodzi o to, by kursy dostępne były dla takich nawet uczestników, którzy nie posiadają uprzednich wiadomości o danym przedmiocie. Wykłady winny być w miarę możliwości, demonstrowane za pomocą obrazów, latarni czarnoksiężskiej, doświadczeń i t. p.

Pioneer lectures stanowią niezmiernie cenną zachętę do kursów systematycznych, wykłady zaś z dziedziny historii, literatury i sztuki mogą być uzupełnieniem kursów na

politechnice i w innych zakładach, gdzie przedmioty te nie są uwzględniane.

Liczba wykładów na kursach tak pierwszego jako też i drugiego typu waha się pomiędzy 3-ma, 5-ma, lub 6 ma.

Po przejściu kursów krótkich lub *pioneer lectures*, słuchacze nie podlegają egzaminom i nie otrzymują świadectw. Kursy systematyczne posiadają organizację bardziej złożoną. Oprócz wykładów prelegenta obowiązują tam jeszcze zajęcia w klasie tygodniowe, ćwiczenia piśmienne i egzaminy.

Zaznaczyć wypada, iż czas trwania kursów, jak w ogóle we wszystkich szkołach angielskich, dzieli się nie według semestrów, lecz według terminów. Terminów w roku szkolnym jest 3: *the Michaelmas Term*, termin jesienny, trwający 10 tygodni, od Października do Grudnia, *the Lent Term*, termin zimowy, trwający również 10 tygodni, od Stycznia do Marca i *Summer Term*, uzupełniający termin letni, trwający 5 lub 10 tygodni (Kwiecień i Maj, lub od Kwietnia do Czerwca). Trzy bezpośrednio po sobie następujące terminy (od Października do Maja lub Czerwca) stanowią rok naukowy lub sesję (*Lesson*).

W skutek powyższego i kursy bywają terminowe, trwające w ciągu terminu, i sesyjne, trwające w ciągu całej sesji.

Oprócz wyżej wymienionych, istnieją jeszcze kursy, trwające trzy lata i dłużej (cztery pełne sesje), zorganizowane dla tych, którzy pragną otrzymać wykształcenie, otwierające drogę do uniwersytetu.

Na kursy terminalne składa się zwykle jakieś dziesięć odczytów, po jednym w ciągu tygodnia, każdy odczyt trwa około godziny. Na kursy sesyjne zaś — najmniej 24 do 25 odczytów, wygłaszanych w ciągu trzech terminów sesji.

Programy (Syllabus). Ażeby uczestnicy mogli bez trudu słuchać wykładu i przyswoić sobie jego istotę, obowiązkiem prelegenta jest uprzednie przygotowanie programów drukowanych. W programie, oprócz krótkiego streszczenia odczytu, wskazane być winny najbardziej użyteczne podręczniki.

Klasy (Classes). Dla uczestników, pragnących opracowywać pewien przedmiot gruntownie, zorganizowano klasy lub zajęcia klasowe, przed, lub po każdym wykładzie, trwające około $\frac{3}{4}$ godziny mniej więcej. Celem zajęć klasowych jest umożliwienie słuchaczom wejścia w bezpośrednie stosunki osobiste z prelegentem i drogą rozmowy z nim lub krytyki pędsze i łatwiejsze zaznajomienie ich z zasadami nauki. Nauczanie w klasach mniej jest formalne, aniżeli na wykładach. Słuchacze mogą zadawać prelegentowi pytania, dotyczące poprzednich wykładów. Z drugiej strony prelegent ma możność przy pomocy pytań poznać bliżej swoje audytorium i stosownie do indywidualności słuchaczy, zmienić sposób wykładu. Pożądanem jest bardzo w każdym razie, by zajęcia klasowe nie przybrały charakteru wykładów, lecz żeby ograniczały się do rozmowy pomiędzy prelegentem a słuchaczami. Podczas zajęć klasowych poprawiane bywają ćwiczenia piśmienne.

Tygodniowe ćwiczenia piśmienne. Po każdym wykładzie prelegent zadaje pytania, do-

tyczące wykładanego przedmiotu; odpowiedzi na te pytania słuchacze piszą w domu. Po wyższe ćwiczenia piśmienne oddają do poprawy prelegentowi, który uskutecznia to zwykle pomiędzy jednym wykładem a drugim, poczem czyni swoje uwagi. Ćwiczenia piśmienne stanowią podstawową część nauki, przyzwyczajają bowiem słuchaczy do dokładnego i ścisłego wyrażania swych myśli. Rozumie się samo przez się, że ćwiczenia z biegiem czasu stają się trudniejsze.

W każdym razie pożądanem jest, by ćwiczenia piśmienne nie były jedynie reprodukcją wykładu, programu lub konspektu.

Zaznaczyć należy, że obowiązują one tylko tych uczestników, którzy mają zamiar zdać egzamin i pragną uzyskać świadectwo. Na zajęcia klasowe, o których było wyżej, uczęszczać mogą wszyscy słuchacze bez wyjątku.

Egzaminy. Po ukończeniu bądź terminalnych, bądź sesyjnych, czy też kursów wyższego typu i po pomyślnem zdaniu egzaminu, wydawane zostaje słuchaczom świadectwo. Istnieją cztery rodzaje świadectw i odpowiednio do tego cztery rodzaje egzaminów: 1) egzamin na uzyskanie świadectwa terminalnego, 2) na uzyskanie świadectwa sesyjnego, 3) na uzyskanie świadectwa wice-kanclerskiego, 4) na uzyskanie świadectwa kanclerskiego.

Kandydaci mogą być dopuszczeni do egzaminu, jeżeli: 1) uczęszczali regularnie na wykłady i zajęcia w klasie, 2) gdy tygodniowe ich ćwiczenia piśmienne uznane zostały przez prelegenta za zadawalające, 3) gdy ukończyli at 15.

Uczęszczanie na wykłady i zajęcia w klasie

Słuchaczów obowiązuje uczęszczanie na wszystkie wykłady i zajęcia w klasie. W razie jednak choroby lub innych powodów, czyniących nieobecność ich nieuniknioną, mogą być dopuszczeni do egzaminu wówczas, gdy ilość opuszczonych wykładów i zajęć w klasie stanowi nie więcej, niż $\frac{1}{4}$ ogólnej ilości tak pierwszych, jakoteż i drugich.

Ćwiczenia piśmienne. Przestrzeganiem jest surowo, by słuchacze równolegle z wykładami odrabiali ćwiczenia piśmienne, będące: a) odpowiedziami na pytania w zakresie wygłaszanych wykładów, b) obszerniejszym streszczeniem lub kombinacją pierwszych i drugich. Jeżeli ćwiczenie typu b uznane zostanie przez prelegentów za dobre, wówczas uważane jest przy ocenie ogólnej ilości prac wynaganych od słuchacza, za równające się dwóm ćwiczeniom typu a.

Ażeby być dopuszczonym do egzaminu, przedstawić trzeba w ciągu kursów sesyjnych nie mniej niż 18 ćwiczeń typu a, albo odpowiadającą im liczbę ćwiczeń typu b.

1) Świadectwo terminalne — wydawane zostaje po ukończeniu kursu, składającego się nie mniej niż z 10-ju wykładów i zajęć klasowych; 2) świadectwo terminalne z pochwałą otrzymują tacy słuchacze, których i prelegent i profesor egzaminujący uważają za słuujących na takie odznaczenie. Oprócz powyższych, wydawane zostaje świadectwo sesyjne za wykonanie pracy sesyjnej z jednego przedmiotu. Świadectwo wice-kanclerskie za długotrwałą i ustawiczną naukę

otrzymują słuchacze, którzy posiadają już cztery świadectwa sesyjne. Świadectwo kanclerskie z nauk humanitarnych (historii, literatury, sztuki).

Eugenia Żypowska.

(Dokończenie nastąpi).



Balzac i pani Hańska.



W ostatniej swej książce, noszącej tytuł: „Le 628 — E. 8,” Oktawiusz Mirbeau opisuje swoją podróż na automobilu, zaopatrzonym numerem powyższym. Zwiedził Francję, Belgię, Niemcy i Holandję, spisując swoje przypadkowe myśli o przeróżnych rzeczach i ludziach, o hotelach, o królu Leopoldzie, o cesarzu Wilhelmie i — Balzacu. Przypomniał go sobie niewiadomo dlaczego, w Klonii. W najsensacyjniejszym rozdziale tej książki, traktującej o mnóstwie przedmiotów, nie łączących się z podróżą, opowiada, co o wielkim twórcy „Komedyi ludzkiej” słyszał od współczesnych. Opowiada szczegóły bardzo niekorzystne dla pani Hańskiej. Otóż ten właśnie rozdział został usunięty z wydanego już dzieła. Córka hrabiny Hańskiej, która, jak wiadomo, po śmierci męża, wyszła za Balzaca, upomina się o cześć swej matki na szpaltach paryskiego „Temps'a.” Wyczytawszy jej list otwarty, Mirbeau, z gościem wspaniałomyślnym, odpowiada, że gdyby wiedział, iż córka jeszcze żyje, nie byłby ogłosił tego rozdziału i oświadcza, że go wycofuje z księgarskiego handlu.

Mirbeau miał o to ciężką przeprawę ze swym wydawcą, który na taką rycerskość patrzył krytycznie — z kupieckiego stanowiska. Nie zaszkodziło to jednak książce — przeciwnie zapewniło jej większy jeszcze rozgłos. Zresztą dzienniki z egzemplarzów redakcyjnych, już rozesłanych, przedrukują ten rozdział.

„Była to — pisze autor o pani Hańskiej — piękność wspaniała, nieco nalana. Mimo tuzszy, potrafiła zachować urok, opieprzony akcentem cudzoziemskim, rozkosznym i zachowaniem się zmysłowem, robiącym na mężczyznach wielkie wrażenie. Miała cudowne ręce i ramiona, skórę delikatną i jasną, oczy bardzo czarne, zamglone, niepokojące, usta wypukłe, bardzo ponsowe, głowę o rysunku czystym, okoloną lokami *à l'anglaise*. Węzowa miękkość ruchów nacechowana była lubieżnością. „Balzac natomiast był niski, pękaty i brzydki. Podbił piękną Polkę nadzwyczajnym czarem obejścia.” Zdaniem Oktawiusza Mirbeau, Hański nie sprzeciwiał się skłonności swej żony — ale ociągał się... z umiarem. Gdy, po jego śmierci, Balzac ożenił się z wdową, stan wielkiego powieściopisarza był już beznadziejny.

„Państwo młodzi” przybyli z Wierchowni, na Ukrainie, do Paryża. Zaraz na wstępie doznali niemiłego wrażenia. Mieszkanie było oświetlone, lecz zamknięte. Nikt nie odpowiadał na dzwonek. Wreszcie drzwi wyważono. I cóż się okazało? Oto służący, w na-

padzie obłędu, połamał meble i potłukł naczyń z przygotowaną wieczerzą.”

Pani Balzac, przesądna, jak każda Ukrainka, wzięła to za zły znak. Tym razem przesąd okazał się słusznym. W tydzień po przyjeździe do Paryża, rozeszło się małżeństwo, poprzedzone długoletnią korespondencją i tak gorąco upragnione przez obie strony. Mąż i żona żyli wprawdzie w jednym domu, potrafili jednak „położyć większą przestrzeń między jednym pokojem a drugim, niżli pomiędzy Paryżem a Wierchownią.”

Oboje doznali zawodu. Zrujnowany Balzac nie znalazł u pani Hańskiej odpowiedniej fortuny, a ona nie mogła sobie darować, że zmieniła nazwisko i że połączyła się z człowiekiem umierającym, osamotnionym i ubogim.

Mirbeau tak opisuje ostatnie chwile Balzaca, według opowiadania malarza Jana Gigoux:

„Było to dnia 18-go Sierpnia 1850-go roku. Balzac zapytywał wciąż d-ra Nacquarta:

— Niech mi pan powie prawdę. Jak jest ze mną?

Lekarz wahał się; wreszcie, po długich namysłach, rzekł:

— Powiem panu szczerze: niema żadnej nadziei.

Balzac ścisnął koldrę kurczowo.

— Kiedy umrę? — zapytał głosem zmienionym.

D r Nacquart miał łzy w oczach.

— Może dzisiejszej nocy — odparł. Czy nie pragnie mi pan czego powiedzieć?

— Nie, niczego już nie pragnę.

— Może pan chce się z kim zobaczyć?

— Nie, z nikim.

Nie wspominał ani słowem o żonie.”

Wbrew opowiadaniom Wiktora Hugo, Mirbeau twierdzi, że żona ani razu nie zjawiła się u łóżka konającego Balzaca. Gigoux, jej drugi mąż, od którego autor niniejszej książki otrzymał te szczegóły, tak opisywał te ostatnie chwile.

„Poszedłem do pani Balzac. Zastałem ją w ponsowym szlafroku, z obnażonymi ramionami, z rozpuszczonym włosom. Radziłem jej, aby się pokazała choć na kilka minut, w pokoju męża. „On nie zwraca na mnie uwagi, wciąż mnie upokarza,” — odpowiedziała mi: — „Ale pan mnie nie opuści. Nie zostawi mnie pan samą przez cały dzień. To byłoby straszne” — dodała.

Zostałem. Ku wieczorowi dozorczyńni uwiadomiła nas, że Balzac kona. Ociekał wciąż potem. Dozorczyńni radziła do chorego nie iść. O godzinie w pół do jedenastej, odezwano się dwukrotne, gwałtowne pukanie do drzwi pokoju, w którym siedzieliśmy.

— Pani! — wołała dozorczyńni, — proszę iść, pan umiera.

Jeszcze dwukrotne pukanie do drzwi. Usiedliśmy na łóżku. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, w odrętwieniu. Wreszcie ona poruszyła się, jak gdyby chciała wstać. Zatrzymałem ją. Dozorczyńni odeszła. Słychać było otworzenie i zamknięcie drzwi do pokoju konającego. Pani Hańska z po za rozpuszczonych włosów, spływających jej na ramiona, wyszeptwała: Źle się stało. Głupio: Trzeba by-

ło odpowiedzieć. Co sobie dozorczyńni pomysli?

Ale nie wstawała z łóżka. W dziesięć minut potem, przybyła dozorczyńni z oznajmieniem, że Balzac umarł. Wtedy wdowa zaczęła zlorzeczyć nieboszczykowi, mnie i sobie. Nazajutrz rano poszła odwiedzić zmarłego.”

Taki był ostatni rozdział romansu życiowego tych dwojga ludzi, którzy kochali się póty, póki ich miłość była owocem zakazanym. Niesmaczny, wstrętny epilog.

e.—ż.



Z literatury.



— Bruno Winawer: „Notatnik Szymona de Geldern.” Warszawa. 1907. Nakład „Książnicy.”

Młody pisarz, raczej poeta, niż prozaik. Znane mi są jego utwory wierszem, niektóre bardzo dobre, np. cykl „Tańców” w zeszytach nieodżałowanego „Czarnego Kota” drukowany.

W „Notatniku,” dość chaotycznym w układzie i mglistym, zalety pióra występują najjaskrawiej w pięknych ustępach, opisujących miłość Szymona de Geldern, jego tęsknoty i smutki; dużo tu szczerzej, prawdziwej poezji, owianej tchem palącym namiętności, przepojonej bólem zwątpień...

Wogóle rzecz napisana z talentem.

— Jerzy Orwicz: „Witeź Iwo.” Fantazja sceniczna w której akcja rozwija się prawidłowo, tło podmalowane jest bardzo dobrze, a rysunek figur działających dokonany został dłonią niepozabawioną umiejętności.

Całość czyta się z zajęciem; zdaje się, że na scenie wywarłaby mniejsze wrażenie, gdyż jest w niej dużo tak zwanych „literackich” piękności, choć posiada też ustępy istotnie efektowne i dramatyczne.

Rzecz wogóle nie bez zalet, choć i nie bez usterek. Sympatycznej autorce życzymy powodzenia i zachęcamy do dalszej pracy na tem polu.

— Bolesław Herbaczewski: „Ostatni Kosz” Komedya w 1-ym akcie. Gebethner i Wolff. Warszawa 1907.

Grana przed paru miesiącami w teatrze rządowym w Warszawie, a nagrodzona przed pół rokiem na konkursie dramatycznym we Lwowie, jednoaktówka ta posiada dużo zręczności w układzie scenicznym, humoru i ruchu.

Nie jest to utwór o głębszych znamionach twórczych, jakiego spodziewałby się można było po utalentowanym i poważnym publicyście polsko-litewskim, jakim jest p. Herbaczewski, ale zwykła drobnotka sceniczna, nie bez zalet, napisana w przystępie dobrego humoru i odpowiadająca swemu przeznaczeniu. Rzecz łatwa do grania, dla teatrów amatorskich powinna być dobrym nabytkiem.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała ostatnio: Głośne dzieło angielskiego myśliciela Samuela Smiles'a: „Pomoc własna” (*Self Help*), w edycji piątej, znacznie pomnożonej. Obecne wydanie, sporządzone na podstawie niemieckiej przeróbki Boyesa, gdyż angielski oryginał zawiera przykłady z życia ludzi wyłącznie tylko znanych w Anglii i mających żywe znaczenie dla Anglików. Niemiecka przeróbka rozszerzyła ten krąg przykładami Niemców; z francuskiego obrobienia „*Self-Helpu*” przez Talandiera, zaczerpnięto charakterystyczne wspomnienia z życia Francuzów; a wreszcie całości starano się nadać charakter, zastosowany do naszych polskich potrzeb, przez wprowadzenie przykładów z życia Polaków, którzy w puściźnie zostawili nam wzniosłe wzory miłości dla wolności i ojczyzny.

Obszerny tom, o 463-ch stronnicach, zawiera rozdziały: 1) Narodowa i osobista samodzielność. 2) Wyznaczenie i przemysłowcy. 3) Pomoc własna i stowarzyszenia. 4) Pilność i wytrwałość. 5) Środki pomocnicze i wytrwałość w usiłowaniach naukowych. 6) Malarze i muzycy. 7) Energia i odwaga. 8) Przymioty handlowe, kupcy, ludzie czynni. 9) Pieniądze i ich użycie. 10). Kształcenie siebie samego. 11). Cierpienia i przeciwności. 12).

Potęga przykładu. 13). Charakter. Prawdziwe wykształcenie.—Samuel Smiles zmarł w Kwietniu 1904 r., pozostawiając wdzięczną po sobie pamięć, jako myśliciel, pisarz i przyjaciel ludzkości. Zmarł w 92-gim roku życia.

— „Dzieje literatury polskiej w zarysie,” prof. Brücknera w wydaniu 2-gim, poprawionem i uzupełnionem. Nowe wydanie dzieła niestrudzonego badacza historycznego rozwoju piśmiennictwa ojczystego zatrzymało dawny układ i rozmiary, przyczem autor dołożył wszelkich starań, ażeby książkę ile możności ulepszyć i na wysokości obecnego stanu nauki utrzymać. Uwzględnił więc wyniki badań najnowszych, poddawał ustępy nowe a posuwał mylnie nazwy i daty twierdzenia i domysły tekst zaś miejscami skrócił i wprowadził lepszy ład chronologiczny i rzeczowy Prof. Brückner w „Dziejach literatury” przedstawia całkowity obraz kultury polskiej od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej.

Z utworów beletrystycznych powieść Tadeusza Jarozyńskiego: „Doktor Tomasz,” drukowaną poprzednio w odcinku „Kuryera Warszawskiego,” — Henryka Zbierzchowskiego powieść „Malarze,” składają się z szeregu barwnych obrazków, osnutych na tle życia artystów. Stanisława Ostrowskiego powieść historyczną „Zarzewie,” w której autor zaciekawiająco opowiada przebieg wypadków, od chwili wejścia wojsk Napoleońskich do ziemi polskiej na początku Listopada 1806-go roku. — Władysława St. Reymonta tom drobnych utworów powieściowych pod ogólnym tytułem: „Na krawędzi.” Tom zawiera opowiadania: „Na krawędzi,” „Z konstytucyjnych dni,” „Sąd,” „Cmentarzysko,” „Zabiłem!” „Czekam.”

— Wychodząca w Lublinie od 1-go Lipca r. b. „Służebnica polska,” przeszła pod redakcją p. Maryi Kaczkowskiej i ukazała się pod zmienionym nagłówkiem „Pracownica polska.” Jest to miesięcznik, przeznaczony dla służby domowej, pragnącej chwile wolne od zajęć obowiązkowych spędzić pożytecznie i pouczająco. Celem „Pracownicy” jest podawać czytelnikom pokarm zdrowy, wykażać prawdziwy cel życia, dobrą radą wspomagać w spełnianiu obowiązków względem Boga, rodziny i kraju. — Byłoby bardzo pożądanem, żeby panie domu zachęcały swe pracownice domowe do czytania wyżej wspomnianego piśmka, w którym, obok wskazówek pożytecznych znajdują też rozrywkę. Kosztuje ono tylko 1-go rubla na rok.



SARYUSZ.
(ZOFIA CIESZKOWSKA).

PODWÓJNA MORALNOŚĆ.

SZKIC POWIEŚCIOWY.



(Ciąg dalszy).

Ewie zdało się, że stoi pod pręgierzem, szybko podniosła się z ławki i uklękła wśród tłumu.

Wtedy te same panie zajęły opuszczone jej miejsce.

Kłęcząca za ławką przez ludzi zasłonięta, po chwili do uszu jej dobiegły słowa:

— Cóż twój doktorek?

— Kto?

— No mąż tej awanturnicy. Powinszować sukcesu. A małżonek?

— Niema obawy. Alboż twój domyśla się kiedy czegokolwiek.

— I takie mnie sądzą! — pomyślała Ewa — i krew w niej zawrzała.

* * *

Wracała do domu wzburzona.

Życie Ewy było straszne, tem cięższe, że natura jej nie znosiła niesprawiedliwości i krzywdy, a spotykała się z niemi od dziecka.

Już na szkolnej ławce patrzyła głębiej i czuła goręcej. Później oburzała się na to,

że bracia jej, którzy się uczyć nie chcieli, otrzymali jednak wyższe wykształcenie i zajęli wysokie stanowiska, a siostra, nieboszczka Madzia, która się rwała do nauki, musiała się borykać z przeciwnościami i przedwcześnie umarła. Oburzała się, że więcej u ludzi ważyła francuzka paplanina i brzdąkanie na fortepianie Anity, niż inteligencya i zdobyte wiadomości Madzi, i że świat otoczył głupią i fałszywą wszystkiem, a nic nie dał zacnej i rozumnej. A czyż całe jej życie niebyło jedną krzyżącą niesprawiedliwością i krzywdą.

Jedyną jej pociechą były dzieci, które ją ubóstwiały, ale zawsze lękała się, że kiedyś, gdy się dowiedzą o ciężącej na niej plamie, mogą i one odwrócić się od niej.

Czas biegł. Dzieci zostały oddane do szkół.

Ewa odwiedzała je bardzo rzadko, wyciekując świat z utęsknieniem, ale od czasu do czasu wpadała do nich, choć i stamtąd wracała zgębiona.

Bo i w mieście znano jej historię. Czytała to nieraz w skierowanych ku niej wejrzeniach, szeptach, półsłówkach. Słyszała, jak ją wskazywano.

— Patrzej, to ta Raclawska, obywatelka co to wiesz... Słyszałaś przecie o tym skandalu?

— Aaa wiem, słyszałam. To ona?!

To znowu:

— Ależ ona już nie młoda, zwiędła. Nie wygląda na heroinę romansu.

— Przecież to było przed laty. Cóż dziwnego, że się zestarzała...

To ciągle wewnętrzne szarpanie się, ten głuchy bunt, jaki w nieszczęśliwej kobiecie wrzał od dziecka, przy nadmiernej wrażliwości, strawił ją. Była jak tlejące się zgliszczą; jak popiół, pełen iskieł gorejących.

Cierpienie zmarszczkami pokryło jej czoło, twarz zwiędła, włosy posiwiwały, a w przedwcześnie postarzałem ciele duch młody protestował przeciw temu zniszczeniu, burzył się i cierpiał.

Pewnego dnia spotkała w mieście Karola.

Szedł szybko, uśmiechnięty, pogodny i minął ją niepoznanym. Ona zbladła i zatrzymała się bezwiednie.

Serce jej poczęło bic silnie! Nie poznał jej... chciała biedz za nim, wołać, ach! choć spojrzeć mu w oczy raz jeszcze, a stała jak przykuta do miejsca, szarpana pragnieniem ujżenia go, i obawą, że ją ujrzy tak starą przedwcześnie.

Powlokła się za nim, jak zahypnotyzowana, i wszystko, prócz niego, z oczu jej zniknęło. Widziała wciąż przed sobą te obejmujące ją niegdyś miłosnem wejrzeniem oczy tę postać wytworną.

Nagle, na rogu ulicy on zawrócił i spojrzeli sobie prosto w oczy.]

— Pan... Karol! — dobyło się z ust Ewy.

Stanął i spojrzął na nią zdumiony.

— Pani? — zawołał, — pani Ewa! Nie poznałem!.. dopiero po głosie...

— Zmieniłam się... — wyrzekła drżącym głosem.

Zmieształ się, nie mógł zaprzeczyć.

— Ależ... istotnie... pani się zmieniła... Czy pani chorowała?

— Starość, panie Karolu, a przytem żyję po za obrębem ludzkich praw. Błądzą samotnie, rozpamiętując swe winy.

— Winy? Czyżby i tu?...

— Zła opinia, skandale, płyną na skrzydłach i ludzie je w lot chwytają, bo to ich ulubiona strawa.

— Jak pani zgorzkniała..

— A tak — uśmiechnęła się, — jestem stara i gorzka, jak samo nieszczęście... Piołun tkwi w każdym cierpieniu... Ale niech mi pan mówi o sobie. Wygląda pan świetnie!

— Trzymam się dobrze, Bogu dzięki.

— I cóż pan porabia?...

— Ożeniłem się.

— Taaak?...

— Mam córeczkę Ewunię..

— Ewunię? I.. i... pan szczęśliwy?

— O tak, nie mogę narzekać... Dobry zrobiłem wybór...

— Cie... cieszy mnie to.

— Może pani chce poznać moją żonę? Jest tu w hotelu niedaleko.

— Nie, nie... Ja zresztą nikogo.. z nikim... z nikim nie żyję.

— Szkoda, żona właśnie na mnie czeka. Miałem wrócić na drugą...

— Już w pół do trzeciej. Zatem nie zatrzymuję...

— Ale takbym rad pogawędzić z panią. Tyle lat... tyle wspomnień niezatartych, serdecznych. Może się jeszcze spotkamy... ja od czasu do czasu bywam tu w mieście, czy i pani także? Będę pani upatrywał.

Uśmiechnęła się boleśnie i podała mu rękę.

Ucałował ją serdecznie, spojrzął swym dobrym wzrokiem, raz jeszcze ścisnął jej rękę i oddalił się szybko.

Ona powlokła się dalej.

Uśmiech gorzki, bolesny, nie schodził z jej bladych ust i jakiś wyraz osłupiały tkwił w oczach. Drobną jej postać zgięła się, pochyliła. Wyglądała jeszcze starzej, niż zwykle.

Szła, raczej posuwała się bez myśli, bez celu, jakby bezwładnie.

— Co to? — było w jej zmęczonych myślach, — co to? To on... Karol? To, to jedyne serce... to ten, przez którego... ku któremu dziś się jeszcze wyrывa?... Zbrzydła, zestarzała się... Nie poznał jej. Cóż dziwnego? Córeczka Ewunia... to wszystko... ostatni ślad pamięci... I już wszystko przepadło i już nic, nie... To dobrze, to bardzo dobrze, tak właśnie być powinno. Żonaty... Jakże mogło być inaczej? W tej chwili uśmiecha się do tamtej... do żony...

Dreszcz nią wstrząsnął.

Czemuz się dziwi. Życie płynie i unosi z sobą ludzi, uczucia i wyrzuca je z falą, jak kwiaty zeschnięte. Ktoby tam dbał o uczucia zwiędłe?... to tylko one, kobiety... głupie, sentymentalne istoty... Życie płynie, czasem skotłuje się, wzburzy, czasem w słońcu blaskiem zamigoce. Ale dla niej zagasły wszystkie blaski, bo słońca nie było. Więc idzie w cieniu, w samotności, w zapomnieniu i tylko ból i krzywdę z sobą dźwiga.

Przyjechała do domu jeszcze przed zachodem słońca. Mąż, jak zwykle, nie spojrzął, nie przemówił do niej. Nie istniała dla niego. Przed dworem stał błyszczący kabryole-

cik. Pan Roman wystrojony, wyświeżony, wyglądający jak młodzieniec, skoczył do pojazdu i zapinał rękawiczki. Gospodyni tymczasem ładowała drób i owoce, ogrodnik podawał bukiet.

Ewa wiedziała co to znaczy. Mąż zabierał to dla pani swego serca. Jechał do niej i z tem się ukrywać nie potrzebował, ani ukrywać nie raczył.

Osunęła się na schody ganku i patrzyła na to wszystko martwym, rozdzierającym wzrokiem. Nie mogła protestować, bo i na cóżby się to zdało?

Drzewa kołysząc się, szumiały łagodnie, kwiaty rozchylały swe pyszne i wonne kielichy. W blaskach zachodzącego słońca goniły się z brzękiem owady i bujało rozświegotane ptactwo. Jakiś urok i ukojenie były wsząd. I wszystko pławiło się w ciszy, w błękitach i w słońcu.

A z jej oczu płynęły łzy...

Ten ją podeptał, a sam tryumfuje, a tamten... ku któremu biegły nieraz jej myśli stęsknione, i serce poszarpane, i słowa bolesnej skargi w godzinach straszliwej męki, w tem odtrąceniu samotnem, więc i tamten... tak prędko zapomniał... Kto wie, może zaraz na jutro poszedł szukać innej... Przecież to takie naturalne. To tylko kobieta, nędzna niewolnica i śmieszna, wieczna ofiara. To tylko ona...

Noc się zbliżała świetlana, gwiazdzista noc letnia, a wraz z nią sphywał na ziemię Anioł miłości, Anioł pokoju. I kłoniły się ku sobie dyszące rozkoszą kwiaty i silniej były serca kochania spragnione i goręcej oplatały miłosne ramiona, Anioł rozpostarł skrzydła i czar zstępował na ziemię, czar uczuć gorejących i piękna, czar pieśni przyrody i „cudów“ godziny.

A samotna, odepchnięta kobieta ukryła twarz w dłonie i płakała rozpaczliwie, gorzko.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Robótki kobiece.



Chociaż tak często modni prawodawcy odzywają się złośliwie i z lekceważeniem o „robótkach kobiecych“, nie zatraciły one jednak dotąd wartości swojej, przeciwnie doniosłość ich jest równie ważną dziś, jak i przed setkami i więcej lat. Przy ręcznej robocie znużone i rozdrażnione nerwy znajdują ukojenie; ona miękkiem przymusem wspiera gniotące jarzmo ciężkich dolegliwości, ona niesie ulgę w żalobnej męce, broni od gniewu, nie dopuszcza do całodniowego zrzędzenia w kółko; usposabia do marzeń, do budowania zamków na lodzie, jest i pozostanie na zawsze najwierniejszą przyjaciółką kobiety.

Na przekór drwinom i złośliwym uśmiechom, stała się ona niezbędną dla kobiety; nie trzeba jej lekceważyć nawet wtedy, gdyby była tylko wypełnieniem godzin bezdusznych.

Uklucie igłą nie sprawia bólu, uklucie zaś językiem nieraz przypieka boleśnie. Zupełnie z fałszywego założenia wychodzą ci, którzy twierdzą, że przyjemność przy robótkach mogą znajdować tylko istoty ograniczonego umysłu. Przeciwnie. Dla kobiet, zmuszonych pra-

cować umysłowo, wyczerpująco, staje się ona pomocną do odzyskania równowagi, do nabrania sił, co zostało już dawno stwierdzone przez lekarzy i psychologów. Wiedzą oni dobrze, że dla osłabionej pacjentki, miły haft, pięknie cieniowany kwiat, zbawienniejszy skutek wyrzucić mogą, niż co godzina łyżka lekarstwa z flaszki, opatrzonej papierową etykietą.

Karolina Bauer, ulubiona aktorka z pierwszego dwudziestolecia zeszłego wieku, w swoich „Wspomnieniach scenicznych“ opowiada, iż godzina spędzona nad haftem powracała ją do równowagi, z której wytrącały ją zazwyczaj występy sceniczne, nowe role, wizyty i odwiedziny, pisze też również we „Wspomnieniach“, o swojej koleżance, pani Unzelman, która z największą rozkoszą robiła szydelkiem wtedy, gdy po uszy pogrążona była w kłopotach materialnych i biedziła się, jak zasilic swą opustoszałą kasę.

Panią George Sandia zapewne nikt nie posądzi o brak inteligencji, ani jej nie przypisze cichych cnót domowych, jednak haft stanowił zajęcie, któremu się chętnie oddawała. Złośliwi mawiali, iż czyni to dlatego, „iż ma piękne ręce.“ „Przy robocie mogę obracać młynem myśli moich“—odpowiadała, i żywo haftowała dalej.

Znakomity znawca ludzi, Bar, w swem najpoważniejszym jeśli nie najlepszym dziele: „Historia dwóch miast“, przedstawia typ kobiety francuskiej z ludu, która pałała nienawiścią i zalem przeciw miastu i towarzystwu, której wrażliwość już tak stępną była, iż nie wzdręgała się z oburzenia na widok mordów i krwi. Siedzi ona we drzwiach swego małego szynku i robi pończochę na drutach i czuwa, kto wchodzi, kto wychodzi, poznaje dokładnie, jaki wyraz twarzy cechuje tajnego spiskowca. Spokojnym, mechanicznym ruchem drutów ludzi, tych, co nie przeczuwają nawet, jakie straszne dzieło się przygotowuje; nie wiedzą, iż niebawem zerwie się orkan, przed którym nie się nie ostoi; który ze szczętem wszystko w niweez zdruzgoce.

Nawet istoty po nad zwykłą miarę, kierowały polityką, robiąc na drutach pończochę. Angielski radca Stanu, Benjamin Disraeli, którego londyńskie pismo humorystyczne „Punch“ często jako owczarza przedstawiało, utrzymywał, iż najlepiej odbywał posiedzenia ministerjalne, robiąc pończochę, że zaś na stanowisku swoim często posiedzenia odbywać musiał, niezliczoną też liczbę pończoch przytem odrobił; tylko to właściwie nie były całkowite pończochy, pięta przechodziła bowiem jego kompetencję, więc same tylko cholewki wykańczał.

Zaufany jego kamerdyner zamieniał mu starą robotę na nową, czego poważny mąż stanu nawet nie spostrzegał; jak również tego, czy dziś zrobił zółtą, a jutro niebieską pończochę. Umysł jego wysiłał się przy tej robocie nad wysnuwaniem politycznych projektów i kombinacji. I myśli kobiet nie skupiają się nad robótkami ręcznymi, czego dowodzą opuszczane oczka, często krzywe ścięgi, źle dobrane kolory i wiele innych pomylek.

Śmiało twierdzić możemy, że modne roboty nie wymagają nateżenia umysłu. Wszystko jest wyrysowane, odznaczone. ścięgi, o ile można, obliczone, kolory dobrane i wzór nader ułatwiony do skopiowania.

Hasło wieku naszego: pośpiech, znajduje sprzymierzeńca w wesoło skaczącej igle maszynowej.

Pragnąc widzieć rzecz jaknajszybciej wykończoną, zwracamy więcej uwagi na powierzchowne wykończenie, chcemy, aby robótka miała powab, gdyż przeznaczamy ją do stroju, lub przyozdobienia mieszkania.

Panująca moda stosuje rozmaitego rodzaju hafty na ścianach i obramowaniach przy koł-

nierzach, szalach i bieliźnie; w naszych pokojach znajdujemy haftowane poduszki, serwety, zasłony przy drzwiach i oknach. Wśród rozmaitych przedmiotów, pożytecznych i zbytecznych, hafty odgrywają dużą rolę.

Firanczka w okienku, przez które się wygląda, z mieniającego jedwabiu w „malowane igielką“, secesyjne skrety, wabi oko; w muzeach barwne wyroby obcych ludów pobudzają do naśladownictwa. Często są to rzeczy naiwnej techniki, które jednak przypadają do naszego zblazowanego gustu.

Jeżeli raz zrobimy początek wyemancypowania się od „robót ręcznych“, które cały świat wykonywa, lub wykonywać może, nadamy pracom dokonywanym igłą zupełnie inną wartość. Tylko nie trzeba sobie wyobrażać, iż można bez żadnego planu zaszcześcić na swojskim pnium nieco egzotyczne powaby i posuwać się po nad możność naszą.

Brudna i zaniedbana robota wystawia złe świadectwo robotnicy i dowodzi, iż poniewierała się pod ręką, nie była przechowywana w szafie, tylko tu i tam do użytku brana i wtedy nie przynosi chluby swojej wykonawczyni.

Możnaby, parafrazując jeden z aforyzmów angielskich, powiedzieć do kobiety: „Pokaż mi swoją robótkę, a ja ci powiem, jaką jesteś!“

E—La...



Ze Stowarzysz. umysłowo pracujących Polek.



W Niedzielę dnia 1-go b. m., wygłosił prof. Wł. M. Kozłowski, drugi z kolei odczyt z cyklu „Filozofii XIX-go stulecia“ i rozbił zasady Comte'a, twórcy pozytywizmu, poprzedziwszy je krótkim ustępem, obejmującym życiorys tegoż filozofa. W zasadach, stawianych przez Comte'a widzimy dalszą fazę ewolucji myśli filozoficznej, która z piedestału wiedzy bezwzględnej, silącej się na odgadnięcie najwyższych zagadnień bytu, przechodziła zaczęła stopniowo do zadań realnych, z życiem bezpośrednio związanych. Usiłowaniem Comte'a było ustalić pozytywizm jako doktrynę przyszłości. Rozum ludzki nie jest w stanie poznać ani istoty zjawisk, ani ich ostatecznych przyczyn i celów, dostępnem mu jest jedynie zbadanie praw stałych, rządzących nimi. Należy więc odrzucić metafizykę, a filozofię połączyć z wiedzą ścisłą i zakreślić jej zadanie praktyczne służenia celom ludzkim. Jako jeden z najbliższych celów tej filozofii praktycznej, stawia Comte: stworzenie podstawowych zasad dla socjologii. W rozwoju myśli Comte'a widzimy dalsze postępy owego prądu społecznego, który stanowi zasadniczy zwrot od indywidualistycznego kierunku filozofii XVIII-go wieku. Według niego, jednostka jest abstrakcją, żywą zaś siłą stanowi tylko społeczeństwo, a jednostka jego celom podporządkować się powinna. Wychowanie powinno wytworzyć tę karność moralną, która zapewni przewagę altruizmu nad egoizmem, a ponieważ mechanizm społeczny opiera się na ideach, a zatem intelektualny rozwój wraz z doskonaleniem poczucia społecznego powinien zapewnić postęp i szczęście przyszłych pokoleń.

Mówca rozbił dalej ważniejsze dzieła Comte'a i jego system klasyfikacji nauk, który był olbrzymią próbą usystematyzowania całej wiedzy ludzkiej. Wpływ głoszonych przez Comte'a zasad, silnie oddziaływał na bieg myśli współczesnej i sięgał po za granice jego ojczyzny. Cały odłam wybitnych pozytywistów angielskich zawdzięcza mu swe duchowe pochodzenie; Baine, Mill i Spencer byli jego uczniami, chociaż przyjęli tylko

część jego doktryny, w niektórych kierunkach znacznie ją zmieniwszy.

Zasada „odkupienia społecznego,“ służby dla przyszłości i dla społeczeństwa, znalazła w tym filozofie wymownego rzecznika, a poglądy na zadanie filozofii w życiu wytworzył nową szkołę, która odegrała ważną rolę w dziejach umysłowości XIX-go stulecia.

z. b.



Działalność kobiet

w instytucjach Gminy Ewang.-Augsburskiej

w Warszawie.



II.

Stowarzyszenie Opiekunek.

Stowarzyszenie Opiekunek nad ubogimi gminy Ewangelicko-Augsburskiej w Warszawie, powstało w roku 1874-ym, z inicjatywy ówczesnego pastora, a późniejszego generalnego superintendenta, ks. Gustawa Manitusa. Pierwszemi Opiekunkami, a więc założycielkami Stowarzyszenia były panie: Dejke Marya, Gallati Matylda, Hoch Matylda Zofia, Holtz Marya, Rau Zofia, Rode Marya, Rhein Emilia, Rosen Amelia, Scholtze Natalia, Szlenker Anna, Spiess Elzbieta, Loth Gabryela, oraz przew. w tym pierwszym Komitecie Biberstein Ida. Stowarzyszenie istnieje od lat 32-ch, a celem i zadaniem jego jest nie tylko działalność filantropijna, to jest wspieranie materyalne, a przez to samo usuwanie poniżającego żebractwa ulicznego, lecz również praca społeczna, oświatowa i etyczna.

Stowarzyszenie, przyjmując pod opiekę ubogą rodzinę, lub osobę pojedynczą, zobowiązuje się czuwać i wspomagać ją we wszelkich potrzebach materyalnych i moralnych. Przedewszystkiem więc stara się o dostarczenie pracy odpowiedniej uzdolnieniu, opiekuje się wychowaniem dzieci, pomieszcza je w ochronach, szkołach i szwalni. Zapewnia ubogim bezpłatną opiekę lekarską, a w razie kalectwa lub choroby nieuleczalnej, umieszcza w specjalnie zbudowanym przytulku. Stowarzyszenie wkłada na Opiekunki obowiązek częstego odwiedzania biednych rodzin, co wytwarza między nimi stosunek wzajemnej życzliwości, zaufania i korzystnego moralnego oddziaływania. Stowarzyszenie Opiekunek nad ubogimi w chwili założenia, t. j. w Marcu 1874-go roku liczyło członkiń 57. Komitet stanowiło Opiekunek 11. Przyjęto pod opiekę rodzin 43. Dochód z jednomiesięcznej składki stanowił rubli 166. Rozchód na wsparcia w gotówce, oraz bieliznę, obuwie, odzienie i t. p. wynosił rb. 129. Po całorocznej działalności pierwsze sprawozdanie 2-go Kwietnia 1875-go roku głosi:

Zebrano drogą składek rubli	1,733
Rozdano	1,220
Przyjęto pod opiekę rodzin 129.	

Odtąd corocznie widzimy rozwój Stowarzyszenia. Zwiększa się liczba Opiekunek i członków. Powiększa się równocześnie ilość rodzin przyjętych pod opiekę. W roku 1875-ym wchodzi do Komitetu p. Marya v. Ewerth. W Kwietniu 1877-ym zostaje wybrana na Przewodniczącą Stowarzyszenia i od tej pory przez lat 30 bez przerwy pełni te obowiązki z gorliwością i prawdziwym pożytkiem dla Stow. Opieki.

W roku 1889 ym, czyli w 25 lat od założenia, Komitet składa: Opiekunek 16 i 2-ch Opiekunów. Członków płacących jest 191.

Dochód roczny	5,338 rubli
Rozchód	4,635 „
Przyjęto pod opiekę rodzin 299.	

Wychodząc ze swego założenia, Stowarzyszenie Opiekunek nad ubogimi powołało też do życia cały szereg instytucji pomocniczych, tworzących jakoby rozgałęzienia i uzupełnienia instytucji pierwszej. Z inicjatywy Przewodniczącej p. M. v. Ewerth, w r. 1880-ym, powstaje „Szkoła Niedzielna“ dla dzieci.

W roku 1881-ym staraniem Stowarzyszenia, a głównie przewodniczącej tegoż, p. Maryi Ewerth, oraz dzięki ofiarności p. Wilde Olgi i s. p. Stanisława Pfeiffra, zyskuje Opieka „Przytułek dla nieuleczalnie chorych“ instytucję pierwszorzędного znaczenia, wzorowo urządzoną.

W roku 1888-ym, powstaje „Szwalnia dla dziewcząt.“

W r. 1890-ym — „Ochrona II-ga.“

W r. 1904-ym zaczynają istnieć dwie nader ważne instytucje społeczne: „Schronisko i ognisko dla kobiet“ i „Zakład dla dzieci umysłowo upośledzonych.“

Nakoniec rok 1905-ty okazuje się najobfitszym: powstają wówczas trzy instytucje: „Pośrednictwo pracy,“ „Posiłek“ i „Żłobek.“

Wszystkie zakłady powyższe, służąc chętnie i gorliwie nie tylko członkom Gminy, lecz całemu społeczeństwu swemu, doznają też ogólnego i zasłużonego uznania, a pierwotnie Stowarzyszenie Opiekunek otacza zawsze serdeczną troskliwością biednych i opuszczonych.

Komitet obecny liczy 24 Opiekunki i 2-ch Opiekunów. Członków posiada Stowarzyszenie 302 osób. Dochód roczny ze stałych składek, ofiar jednorazowych, corocznie urządzanej loteryi i darów w naturze wynosi rubli 10 482

Rozchód „ 8,189

Fundusz żelazny Stow. stanowi „ 10,650

W roku 1906 ym korzystało z Opieki rodzin i osób 536.

Wspomnieć tu też należy, że corocznie, w dzień Wigilijny, we wszystkich instytucjach Gminy rozdzielaną bywa Kolenda.



Chwila bieżąca.



— W Dumie państwowej toczyła się dyskusja nad adresem do tronu, gdyż nie wszyscy podzielali tekst i wyrażenia. Październikowcy nie zgadzali się na włączenie do adresu wyrazu „konstytucya.“ W imieniu Koła polskiego poseł Harusewicz, na naradzie grup opozycyjnych proponował rozdzielić adres.

Do komisji prawodawczej na 15-tu członków wybrano dwóch Polaków: Dobieckiego i Olizara, do komisji gospodarczej został wybrany Tyszkiewicz. Widzimy z tego, że wybory od różnych komisji w Radzie państwa są pomysły dla Polaków.

— Utworzył się „Związek kresowy“ z inicjatywy posła od ludności rosyjskiej w Warszawie, Aleksiejewa. Na prezesa Związku wybrano biskupa Eulegiasza.

— Znany, po raz trzeci wybrany do Dumy, poseł Rodiczew, wywołał swoim odezwaniem się ogromną burzę na jednym z ostatnich posiedzeń. Omawiając, że spokój powróci wówczas, gdy władza bezpowrotnie wstąpi na drogę prawa, mówca wyraził się: „To, co Puriszkiewicz nazywa kolnierzem Murawiewioskim, potomność nazwie krawatem Stołypinowskim.“ Powstała okropna wrzawa, okrzyki: „precz, precz!“ — rozlegały się po sali. Po uciszeniu się, pomimo, iż poseł Rodiczew zgodził się cofnąć swoje słowa, tłómacząc się, że nie miał zamiaru nikogo obrazić, iż preprosił prezesa rady ministrów, postanowiono wykluczyć go większością wszystkich głosów, przeciw 98-iu na 15 posiedzeń i odłożyć rozprawę.

— W roku 1906/7 pod egidą Macierzy powstało 581 kół. Ze sprawozdania, które nie wszystkie jednak nadeszły, dowiadujemy się, iż otworzono 681 szkół, pozwolonych przez władze. Podań o pozwolenie podano przeszło 1,247, czyli 586 podań władze nie uwzględniły. Do Lipca r. b. nie pozwolono też na otwarcie szkół w gubernii Siedleckiej. Władze ociągają się w ogóle z wyda-

niem pozwolenia, w skutek tego do 1-go Lipca zarząd mógł otworzyć tylko 141 szkół, nie licząc średnich zakładów naukowych. Macierz otworzyła oprócz tego; ochronek 317, czytelnik 505, zorganizowała szereg odczytów, pogadanek, kursów dla analfabetów. Biblioteki i czytelnie posiadają 821,371 tomów. Najzasobniejsze są czytelnie gubernii Warszawskiej 42,135 tomów, najuboższe gubernii Suwalskiej 3,905 tomów. Książek wydano 400,544, czytelników było 55,014. Finansowy obrót roczny wszystkich 781 kół uczynił w wydatkach 398,537, w dochodach 810,583 rubli. W sumie dochodów znajduje się dar jednodniowy 3-go Maja, wynoszący 165,782 rubli.

— Projekt prawa o urządzeniu domów roboczych (więzień poprawczych), wniósł do Dumy minister sprawiedliwości.

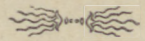
— W sprawie o bunt wojskowy we Władystoku ukończono śledztwo, pociągnięto do odpowiedzialności 132-ch szeregowców batalionu saperów, oraz kilku oficerów.

— W Londynie wręczył ambasadzie japońskiej sekretarz ambasady rosyjskiej czek na 121 milionów franków za utrzymanie jeńców rosyjskich podczas ostatniej wojny.

— W Gardnie nad Rivierą zmarł *Józef Glickson*, był redaktor „Kuryera Łódzkiego.“

— W Filharmonii, w Sobotę, koncert popularny pod dyrekcją Komzaka. W Niedzielę, wielki zjazd stowarzyszeń śpiewaczych, w którym przyjmie udział słynny chór lwowski „Echo,“ pod dyrekcją Jana Galla, Lutnia częstochowska, chór handlowców, oraz chóry Opery i Filharmonii. We Wtorek, podniosły wieczór na cześć Stanisława Wyspiańskiego, pod dyrekcją St. Melcera, J. Galla i Z. Noskowskiego z udziałem artystów opery i dramatu. W Piątek, wielki koncert symfoniczny z udziałem Titta Ruffa, pod dyrekcją Artura Vigha.

Repertuar Opery zapowiada na tydzień przyszy cięszące się wielkiem powodzeniem występy znakomitego barytonisty włoskiego Titta Ruffa, oraz popisy obiegującej śpiewaczki p. Wandy Stajewskiej: w Sobotę Titta Ruffa występuje jako Hamlet w partyi tytułowej, którą, według orzeczeń krytyków rzymskich; „gra, jak Rossi, a śpiewa, jak Battistini.“ Ofelją będzie p. W. Stajewska, która w Nicei i Monte Carlo zbierała laury w tej partyi. We Wtorek „Demon,“ w którym główne partye wykonają Titta Ruffo i Korolewiczówna.



Od Administracji.

Celem uniknięcia zwłoki w przesyłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorki o wczesne wnoszenie przedpłaty na kwartał następny.

Zwracamy przy tem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysyłać listy pieniężne bezpośrednio do Administracji „Bluszczu“ (Nowy-Świat, 41).

Treść numeru:

Stanisław Wyspiański (z portretem), przez Tadeusza Konczyńskiego. — Na śmierć Stanisława Wyspiańskiego (wiersz), przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Z dziejów męczeńskiego żywota Stanisława Wyspiańskiego, przez J. Okszę. — Stanisław Wycpiański, jako malarz, przez Zofię Skorobohatą-Staikiewiczównę. — Bez celu, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy). — Z wami! (wiersz), przez T. Prażmowską. — Lucyan Siemieński, przez Tad. K-ca. — Uniwersytet ludowy w Anglii, przez Eugenję Żypowską (ciąg dalszy). — Balzac i pani Hańska, przez eż. — Z literatury, przez t. i z. — Podwójna moralność, szkic powieściowy, przez Saryusza (Zofię Cieszkowską) (ciąg dalszy). — Robótki kobiece. — Ze stowarzyszenia umysłowo pracujących Polek, przez z. b. — Działalność kobieca w instytucjach gminy ewangelicko-augsburskiej w Warszawie. — Chwila bieżąca. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Dodatek: Opis ubiorów i robót z rycinami, oraz Tablica krojów.

— Do dzisiejszego numeru dla prenumeratorów na prowincyi dołącza się prospekt wydawnictw książkowych i „Mojego pisemka“ księgarni M. Arcta w Warszawie.

F. Stankiewicz

Magazyn Wyrobów
srebrnych i platerowanych

Poleca w dużym wyborze Nakrycia
stołowe i różne galanteryjne wyroby
Senatorska 10, telef. 19-96.

Wielki Magazyn dla Dzieci

Ubranka, Bielizna, Buciki,
Zabawki, Gry Pedagogiczne

Marszałkowska 146

róg Rysiej,
Hotel Francuski

M. Miniewski

← Medale Złote →

Niema zimnych i wilgotnych mieszkań

jeśli obsadzić w piecu

MULTIPLIKATOR OGRZEWANIA

Pat. W. P. Kłobukowski

ogrzewa pokój w 30 min. do samej podłogi,

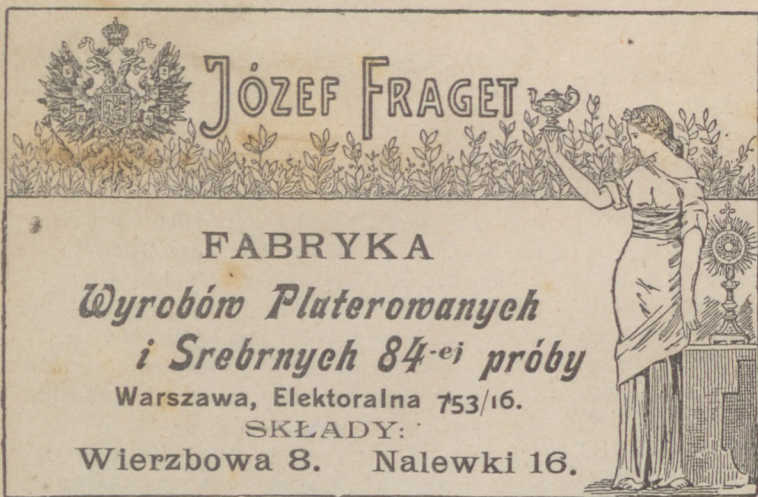
PIECE ŻELAZNE MULTIPLIKATOROWE

OSZCZĘDZA do 50% opalu

nie wydzielają swędu, utrzymują ciepło 8 g. po napaleniu

Pochlebne zaświadczenia, prospekty i cenniki mult. wysyła się na żądanie.

Tel. 1502. Biuro Techniczne Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI, inż. chem. Al. Jerozol. 71.



JÓZEF FRAGET

FABRYKA
Wyrobów Platerowanych
i Srebrnych 84-ej próby
Warszawa, Elektoralna 753/16.
SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

A. JASKULSKI

Warszawa, Wierzbowa 1.

Skład Fabryczny Wyrobów Platerowanych

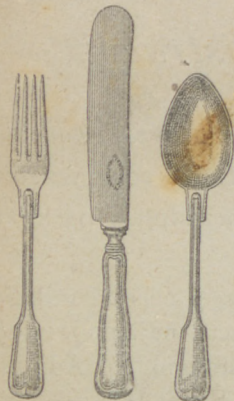
AKC. TOW. R. PLEWKIEWICZ i S-ka

poleca

najnowszy ilustrowany Katalog
wyrobów platerowanych

z przesyłką bezpłatną
każdemu zgłaszającemu się.

Wielki wybór wyrobów z brązu,
srebra, niklu i t. p.



??!! Zamiast 12 rb. tylko 2 rb. 95 kop.

Można dostarczyć wiele przyjemności sobie, rodzinie i gościom, kupując samogrającą skrzynkę muzyczną „Luna“ z toaletowym szlifowanym lustrem, która dźwięcznie i bardzo przyjemnie gra najróżnorodniejsze melodie, walce, polki, marsze, krakowiaki, pieśni narodowe, opery, pieśni kościelne i t. p. Cena zamiast 12 rb. tylko 2 rb. 95 kop., 2 szt. — 5 rb. 50 k., 3 szt. — 8 rb.; przy obstalunku na 6 sztuk skrzynek i jednego rubla zadatku dodaje się 1 sztukę bezpłatnie. Wysyła się za zaliczeniem pocztowym bez zadatku. Adresować: Do fabrycznego składu

M. HOCHGLIKA, Warszawa, ulica Śliska № 40, m. 4.

Darmo! Zamiast 50 rubli tylko rub. 7 k. 95.

wysyłamy elegancki i trwały „GRAMOFON“ najlepszej marki; bezwzględnie po otrzymaniu zamówienia. — Przesyłka i opakowanie 40 kop.

Adres: Towarzystwo „Kosmos“
Warszawa.

MODES DE PARIS
PRACOWNIA SUKIEŃ DAMSKICH
I DZIECINNYCH
Wykonanie szybkie i eleganckie.
Ceny niskie.
Wspólna № 39, m. 2.

Księgarnia Gebethnera i Wolffa w Warszawie

poleca

Nowości Gwiazdkowe

- BRYKOCZYŃSKI ST. Moje wspomnienia. Rok 1863, z 6-ma rysunkami K. Gorskigo. Karton 1.—
W ozdobnej oprawie 1.30
- BUKOWIECKA Z. Jak Piastowie budowali Polskę. Opowiadanie. Karton. —.50
— .60
- CHOCISZEWSKI J. Historia polska w pięknych przykładach przedstawiona. Karton. —.30
— .40
- DALSÈME A. J. Pan z Antypodów. Przygody na lądzie i morzu, spisane dla młodzieży od 12 do 15 lat. Z wielu rycinami. Przekład z francuskiego. Karton —.75
- GOULD A. W. Dzieci matki przyrody. Pogadanki o życiu zwierząt i roślin, ze słowem wstępem Wacława Jeżewskiego. Przekład z angielskiego E. L., z 200 rycinami w tekście. (w druku) Karton —.60
- MORZKOWSKA A. Przygody Mani w zaczarowanym ogrodzie. Bajka z 2-ma obrazkami rysunku K. Gorskigo. Karton —.60
- PRZYBOROWSKI W. Raclawice. Powieść historyczna dla młodzieży z 6 illust. Br. Gembarzewskiego. Karton 1.—
W ozdobnej oprawie 1.30
- URBANOWSKA Z. Gucio zaczarowany, powieść dla młodszych dzieci. Z 10-ma rycinami i ozdobną okładką kolorową. Wydanie 4-te. Karton. 1.20
- VERNE J. Wyspa tajemnicza. Dzieło uwieńczone przez Akademię francuską. Przekład J. Belejowskiej. Wyd. nowe w 2 tomach, z ilustracjami. Karton 1.50
— 1.80
W ozdobnej oprawie 2.—
- ZALESKA J. M. Przygody młodego podróżnika w Tatrach. Z dziennika Kazia przepisana... Z 16 tu drzeworytami. Wydanie 3-cie przejrzone i poprawione. Karton 1.—

Katalog szczegółowy książek na podarki dla dzieci i młodzieży księgarnia wysyła bezpłatnie.

BIELIZNA K. Łazowska.

Front I-e piętro.

Krakowskie Przedm. 69.

Bielizna damska wykwintna i tania, najświeższe fasony, ręczne wykonanie, haft biały, monogramy, imiona i herby. Kompletne wyprawy damskie. Wybór gotowej bielizny. Koszule w rękę haftowane od rs. 2.25. Na sezon zimowy, barchanki pikowe w rękę dziergane od rs. 3, pantalony 1.80.

Pracownia nagrodzona na wystawie pracy kobiet.

Pracownia Sukien i Okryć Damskich ul. Chmielna Nr. 65 miesz. 12.

Wykończą Suknie i Okrycia tak z własnych jak i z powierzonych materiałów, podług najświeższych żurnali paryżkich. Robota staranna.

Ceny umiarkowane

Francuzka

z dobrej rodziny, z klasztornej pensji, inteligentna. Biuro **Jahołkowskiej**, Nowo-Jasna 8, Warszawa.

ARTYSTYCZNE KWIATY

tylko u

WANDY SIWIŃSKIEJ
Krakowskie Przedmieście 61.

Grywam do Tańca

Cypryan Centkowski
Pianista. Żorawia 9—29.

PIERWSZORZĘDNE

Biuro Nauczycielskie

Z. Jasińskiej

poleca nauczycieli, nauczycielki, bony i cudzoziemki.
WARSZAWA,
Włodzimierska 19.

JEDYNA

NON PLUS ULTRA

Maszyna do prania bielizny najtańsza i najpraktyczniejsza.

Niezbędna w każdym gospodarstwie domowym.

Kosztuje tylko rb. 10.

Pierze bez zarzutu i wszelkich poprawek 100 sztuk wszelkiej bielizny w godzinę. Gwarancja długotrwałości maszyny i pranej nią bielizny. Non plus ultra pierze zarówno bieliznę, firanki, hafty, koronki, jak ubrania męskie, damskie i dziecinne w kilka minut. Prospekty wysyłam na żądanie.
Ludwik W. Szwede,
Senatorska 30, Telef. 17-28.

Pracownia Sukien i Okryć damskich
Wiktorii Kozłowskiej
w Warszawie, ul. Marszałkowska 87, m. 4a.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie

KARPIŃSKIEJ

POLECA: nauczycieli, nauczycielki, bony francuzki, niemki, angielski.

Warszawa, Moniuszki 7.